Ślepota na barwy: jak system produkuje naszą niewiedzę

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje koncepcję ślepoty na barwy (colorblindness) jako wyrafinowane narzędzie systemowej dominacji. Autor demaskuje 'maskę neutralności' instytucji akademickich, argumentując, że rzekomy obiektywizm często służy ukrywaniu rasowych hierarchii i ochrony status quo. Tekst odnosi się do współczesnych sporów prawnych, w tym wyroku Sądu Najwyższego USA z 2023 roku, ukazując, jak język merytokracji i formalizmu prawnego utrudnia rozpoznawanie strukturalnego rasizmu. To krytyczne spojrzenie na produkcję wiedzy, w której 'widok znikąd' okazuje się w istocie perspektywą centrum władzy, aktywnie filtrującą rzeczywistość społeczną w celu zachowania przywilejów.

This article examines the concept of colorblindness as a sophisticated tool of systemic domination. The author exposes the "mask of neutrality" of academic institutions, arguing that supposed objectivity often serves to conceal racial hierarchies and protect the status quo. The article draws on contemporary legal disputes, including the 2023 US Supreme Court ruling, demonstrating how the language of meritocracy and legal formalism hinders the recognition of structural racism. This critical perspective on knowledge production reveals that the "view from nowhere" is in fact the perspective of a power center that actively filters social reality to preserve privilege.

Współczesny uniwersytet, autokreujący się jako sterylna świątynia obiektywizmu, coraz częściej staje się areną sporu o naturę wiedzy i mechanizmy władzy. Artykuł analizuje, jak pojęcia takie jak „ślepota na barwy” czy „neutralność proceduralna” funkcjonują jako wyrafinowane narzędzia legitymizacji status quo, maskując systemowe nierówności pod płaszczykiem merytokracji. Autorzy tekstu dekonstruują mit „widoku znikąd”, wskazując, że deklaratywna bezstronność instytucji często służy jedynie konserwowaniu

białej supremacji i ograniczaniu debaty nad historycznymi fundamentami wykluczenia. W obliczu kontrofensywy legislacyjnej wymierzonej w badania antyrasistowskie, tekst stawia tezę, że prawdziwa obiektywność wymaga nie amputacji kontekstu społecznego, lecz jego radykalnego uznania. Przeanalizowano również prawicową krytykę antyrasizmu, która – choć trafnie punktuje rytualizację różnorodności i ryzyko ideologicznego redukcjonizmu – często popada w pułapkę ignorowania strukturalnych uwarunkowań sukcesu. Artykuł jest zatem nie tylko diagnozą akademickiej hipokryzji, ale wezwaniem do wyjścia poza estetyzację niesprawiedliwości w stronę głębokiej transformacji epistemicznej i materialnej, która pozwoliłaby rzeczywistości wreszcie przebić się przez gęstą sieć administracyjnej amnezji.

SŁOWA KLUCZOWE

ślepota na barwy | Krytyczna Teoria Rasy | rasizm strukturalny | maska neutralności | hierarchia epistemiczna | widok znikąd | status quo | dominacja systemowa | legalny formalizm | merytokracja | produkcja wiedzy | colorblindness | wyrok Sądu Najwyższego USA | asymetria władzy | legitymizacja

Maska neutralności: jak uniwersytet ukrywa swoje uprzedzenia

Uniwersytet najchętniej namalowałby swój autoportret jako sterylną świątynię metody, w której panuje chłodny rozum oraz bezinteresowne poznanie. W tle widniałyby regały klasyków i wykresy produktywności, a w centrum figura badacza w białym fartuchu. Ów badacz nie posiadałby rasy, klasy ani historii, stając się ucieleśnieniem czystej, niemal nieludzkiej obiektywności. Jest to obraz elegancki, lecz w swej doskonałości podejrzany, bowiem nie opisuje rzeczywistości, lecz stanowi jeden z najskuteczniejszych mitów organizujących nowoczesną produkcję wiedzy. Mit ten zakłada, że najwyższa jakość nauki wymaga od badacza zawieszenia tożsamości na kołku przed wejściem do laboratorium. W efekcie powstaje tak zwany „widok znikąd", który w praktyce okazuje się jednak widokiem z samego centrum dominacji.

Należy zatem przyjąć, że pojęcia takie jak ślepota na barwy, neutralność polityczna czy merytokracja nie są w akademickim polu terminami niewinnymi. Nie stanowią one wyłącznie

technicznych cnót dobrze ułożonego ładu, lecz funkcjonują jako wyrafinowany język legitymizacji, pozwalający instytucjom na uprawianie moralnej autoapoteozy. Dzięki nim uniwersytet może celebrować własną sprawiedliwość, podczas gdy w jego murach dochodzi do systematycznego odtwarzania dawnych rasowych hierarchii. To nie oskarżenie o drobną hipokryzję, lecz diagnoza ustrojowa dotycząca fundamentów systemu. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć i porzuca brutalne narzędzia dyscyplinowania na rzecz subtelniejszych metod. Zaczyna wówczas przemawiać beznamiętnym tonem regulaminu, raportu ewaluacyjnego oraz podręcznika metodologii, co wszak czyni go niemal nieuchwytnym.

Współczesne spory dowodzą, że problem ten nie jest jedynie zakurzonym eksponatem w muzeum intelektualnych osobliwości. Przełomowy wyrok Sądu Najwyższego USA z czerwca 2023 roku w sprawie przeciwko Harvardowi nadał prawny impet ofensywie wymierzonej w polityki świadome rasowo. Sędziowie uznali, że programy rekrutacyjne uwzględniające rasę naruszają standard równej ochrony prawa, co wywołało niepokój w środowiskach akademickich. Równolegle organizacje eksperckie alarmują, iż język rzekomej neutralności służy coraz częściej do ograniczania dydaktyki oraz badań nad nierównościami. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne przypomniało, że ideologia ślepoty na rasę, czyli ignorowanie koloru skóry w procedurach, utrudnia rozpoznawanie skutków rasizmu. PEN America dokumentuje zaś wzrost cenzury, podczas gdy American Educational Research Association wspiera badania antyrasistowskie jako kluczowy element misji nauki.

Rzekoma ślepota na barwy okazuje się w istocie brakiem wrażliwości na mechanizmy władzy, co pozwala konserwować przywileje pod płaszczykiem obiektywnych procedur. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem, co czyni go w istocie znacznie groźniejszym i trudniejszym do zidentyfikowania. Nowe idee nie trafiają przecież w próżnię, lecz lądują na gęstym polu wcześniejszych utożsamień, gdzie każdy gest neutralności może być formą opowiedzenia się po stronie silniejszego. Właśnie w tym punkcie akademicka bezstronność przestaje być cnotą, a staje się skutecznym narzędziem zarządzania percepcją, czyli aktywnego filtrowania wiedzy w celu ochrony status quo.

Ślepota na barwy jako narzędzie systemowej dominacji

Fakty te nie rozstrzygają całego sporu, ale pokazują rzecz zasadniczą dla zrozumienia współczesnych hierarchii władzy. To, co w analizowanej notatce nazwano maską neutralności, nie jest bynajmniej fantazją krytycznych humanistów, lecz elementem realnej walki o prawo do definiowania prawdy publicznej. Spór toczy się o to, jakie formy wiedzy wolno uznać za naukowo

uprawnione, a jakie należy zdeprecjonować jako stronnicze lub ideologiczne. Wiedza nie wchodzi więc do pustego pojemnika, lecz wchodzi na pole minowe utożsamień i historycznych zaszłości. Nie należy zaczynać od pytania, czy nauka powinna być polityczna, gdyż takie postawienie sprawy bywa intelektualnie leniwe. Zakłada ono bowiem, że istnieje jakieś czyste przedpole poznania, do którego polityka dopiero się wdziera. To diagnoza ustrojowa.

Nauka już jest polityczna, prawo już jest polityczne, a szkoła od dawna stanowi przestrzeń ideologicznego formatowania obywateli. Spór toczy się nie o to, czy polityka ma wejść do środka tych instytucji, lecz o to, czy polityczność dominujących ram pozostanie ukryta pod kostiumem uniwersalności. To samo dotyczy prawa, gdzie formalizm prawny z upodobaniem deklaruje, że mierzy wszystkich obywateli jedną, sprawiedliwą miarą. Krytyczna analiza odpowiada jednak, że pytanie nie brzmi, czy miara jest jedna, lecz kto ją wystrugał i na czyją sylwetkę została pierwotnie skrojona. Musimy zapytać, jakie ciała system uznaje za nieforemne i dlaczego niektóre z nich nigdy nie pasują do wzorca.

Stąd bierze się pierwszy wielki temat eseju, czyli ślepota na barwy, znana szerzej jako colorblindness. W potocznym imaginarium moralnym ta ideologia ignorowania rasy w procedurach, mająca rzekomo gwarantować sprawiedliwość, bywa przedstawiana jako szlachetne wezwanie do etycznego minimalizmu. Brzmi to jak obietnica sprawiedliwości o reputacji maksymalnej, lecz kłopot polega na tym, że w warunkach społeczeństwa ustrukturyzowanego przez dominację takie hasło niczego nie znosi. Ono nie usuwa rasy jako czynnika organizującego szanse życiowe, lecz jedynie zakazuje jej nazywania w przestrzeni publicznej. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem. Znieczula.

Gdy nie wolno mówić o rasie, nie wolno także zrozumieć, dlaczego jedne grupy konsekwentnie kumulują majątek, bezpieczeństwo i dostęp do prestiżowych szkół. Jednocześnie inne grupy gromadzą ekspozycję na przemoc instytucjonalną, gorsze wskaźniki zdrowia, ryzyko karceralne oraz chroniczną niestabilność, która staje się ich jedynym horyzontem. Ślepota na barwy okazuje się więc nie ślepotą na rasę, lecz ślepotą na władzę, a dokładniej formą selektywnej percepcji rzeczywistości. Nie widzi ona przemocy, gdy ta działa cicho w strukturze, lecz dostrzega ją natychmiast, gdy podporządkowani próbują nazwać źródło własnego doświadczenia. To dobrze ubrana amnezja.

W omawianym zbiorze ślepota na barwy nie jest traktowana jako nieudana recepta na równość, lecz jako skuteczne narzędzie reprodukcji białej supremacji. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć i zaczyna szeptać językiem procedur oraz obiektywnych standardów. Nie chodzi o to, że każdy, kto używa języka neutralności, świadomie pragnie dominacji, ponieważ systemy działają przede wszystkim przez formatowanie pola sensu. Ideologia jest najwydajniejsza wtedy,

gdy nie potrzebuje codziennej złej woli, lecz wystarczy jej określenie tego, co uchodzi za rozsądne i dopuszczalne. W takim układzie człowiek może czuć się zupełnie przyzwoicie, a zarazem wykonywać ruchy, które utrwalają niesprawiedliwy rozkład dóbr. Właśnie dlatego tak jałowe jest liberalne pytanie o to, czy ktoś miał rasistowski zamiar.

Z perspektywy ekonomii instytucjonalnej, socjologii prawa i antropologii państwa ważniejsze jest, jakie skutki generują reguły gry i jakie formy akumulacji umożliwiają. System nie musi nikogo bezpośrednio obrażać, aby skutecznie wyceniać jedne życia wyżej niż inne poprzez pozornie neutralne normy i procedury. Trzeba wejść w zagadnienie strukturalnego rasizmu, ponieważ bez niego cała reszta społecznej rzeczywistości pozostaje dla nas całkowicie nieczytelna. Rasizm strukturalny nie jest sumą prywatnych awersji ani sprawą złych manier, lecz sposobem organizacji życia zbiorowego. Jest to układ, w którym instytucje, standardy oceny i rynki łącznie produkują hierarchiczny podział ryzyka i zasobów.

Tę definicję należy bronić z całą erystyczną bezczelnością, ponieważ debata publiczna z uporem maniaka wraca do infantylnej wizji rasizmu jako wyłącznie jawnej nienawiści. Ta redukcja jest niezwykle wygodna dla państwa, uczelni oraz klasy profesjonalno-menedżerskiej, bo pozwala zachować wzruszającą czystość sumienia w każdych okolicznościach. Wystarczy nie używać obelg, a można dalej uczestniczyć w mechanizmach, które działają jak dobrze naoliwiona maszyna ekstrakcji kapitału i prestiżu. Ekonomista powiedziałby, że mamy do czynienia z systemem dystrybucji korzyści i kosztów, natomiast prawnik dodałby, że system ten potrafi przybierać formę neutralnych norm. Otwiera witrynę, ale nie otwiera skarbca.

Antropolog zauważyłby natomiast, że normy te zostają wpisane w codzienny zdrowy rozsądek tak głęboko, iż zaczynają uchodzić za samą naturę rzeczy. Z tej perspektywy notatka słusznie eksponuje historyczną ciągłość między kolonializmem, segregacją, eugeniką a współczesną kulturą instytucjonalną, która udaje brak pamięci. To nie są osobne opowieści, lecz jeden organizm wyposażony w wiele wyspecjalizowanych organów, które współpracują ze sobą w celu utrzymania status quo. Czasem tym organem jest sąd konstytucyjny, czasem program nauczania, a czasem test standaryzowany lub dział kadr w wielkiej korporacji. Wszystkie one pełnią funkcję strażników istniejącej hierarchii epistemicznej.

Hierarchia epistemiczna, czyli układ, w którym pewne formy wiedzy są uznawane za obiektywne, a inne za podejrzane, decyduje o tym, czyja percepcja ma status dowodu. Bywa, że organem tym jest redakcja czasopisma naukowego lub wydział humanistyczny, który na stronie internetowej śpiewa hymny o różnorodności. Jednocześnie te same instytucje prowadzą analizę literatury tak, jakby historia niewolnictwa i kolonialnej przemocy była jedynie niemiłym hałasem dobiegającym zza okna. Gdy zjawisko działa na tak wielu poziomach naraz, naiwne staje się oczekiwanie, że wystarczy

do tego jedynie moralna poprawa jednostek. Potrzebna jest raczej zmiana epistemologiczna i materialna, inaczej będziemy tylko przesuwać obrazy na ścianach domu stojącego na cudzej ziemi.

Maska neutralności: jak nauka legitymizuje dominację

W tym miejscu na scenę wkracza Krytyczna Teoria Rasy, znana szerzej jako CRT, której współczesna recepcja przypomina raczej pole bitwy niż chłodną debatę akademicką. W kręgach konserwatywnych oraz w części liberalnego centrum funkcjonuje ona bowiem głównie jako etykieta strachu, rodzaj poręcznego straszaka służącego do piętnowania rzekomej indoktrynacji czy kolektywizowania winy. Tymczasem w murach uniwersytetów, w obrębie socjologii czy prawoznawstwa, CRT pozostaje żywą i rygorystyczną ramą badawczą, która pozwala analizować skomplikowane sploty między literą prawa a strukturami rasowej władzy. To swoisty urząd celny dla idei, gdzie każda koncepcja sprawiedliwości musi wylegitymować się swoim pochodzeniem i realnym wpływem na rzeczywistość społeczną. Zrozumienie tego napięcia wymaga jednak wyjścia poza publicystyczne uproszczenia i przyjrzenia się fundamentom, na których ta teoria została zbudowana.

Encyklopedyczne i akademickie ujęcia zgodnie podkreślają genezę CRT w sporach prawnych lat osiemdziesiątych oraz jej zasadniczą tezę, że rasa jest konstruktem społecznym, a nie biologicznym przeznaczeniem. Z tej perspektywy rasizm nie ma charakteru wyłącznie incydentalnego, lecz bywa wpisany w samo funkcjonowanie instytucji, działając nawet wtedy, gdy nikt nie wypowiada nienawistnych haseł. Równolegle krytycy akademiccy zarzucają teorii nadmierne poleganie na narracji doświadczenia oraz nieufność wobec tradycyjnie rozumianej obiektywności, co ich zdaniem prowadzi do zbyt łatwego interpretowania wszelkich nierówności jako dowodów strukturalnego rasizmu. Te zastrzeżenia trzeba odnotować uczciwie, ale nie należy udawać, że obalają one merytoryczny rdzeń tej koncepcji. W najlepszym razie pokazują one napięcie między konkurencyjnymi modelami dowodu i normatywności, w najgorszym zaś stanowią próbę przywrócenia statusu naturalności kategoriom, które CRT słusznie podejrzewa o udział w produkcji dominacji.

Warto dodać rzecz zasadniczą: CRT nie jest teorią gniewu pozbawionego kryteriów, lecz precyzyjnym narzędziem, które pyta, w jaki sposób prawo tworzy pozór bezstronności w świecie historycznie ułożonym asymetrycznie. To pytanie jest z perspektywy prawnika elementarne, choć dla wielu bywa skrajnie niewygodne. Jeżeli prawo deklaruje, że traktuje wszystkich identycznie, a jednocześnie chroni zastany układ własności i prestiżu zbudowany na wiekach segregacji, to owa formalna symetria przestaje być cnotą. Staje się ona wyrafinowaną techniką konserwacji, swoistą

dobrze ubraną amnezją, która udaje, że historia nie ma znaczenia dla teraźniejszości. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem, by utrzymać dawne hierarchie w nienaruszonym stanie. Ślepota na barwy, czyli ideologia ignorowania rasy w procedurach, mająca rzekomo gwarantować sprawiedliwość, okazuje się więc nie ślepotą na rasę, lecz ślepotą na władzę.

Traktować nierównych tak samo w sytuacji, gdy ich pozycja startowa jest wynikiem zorganizowanej opresji, to tyle, co ogłaszać immunitet dla przeszłości działającej nadal w teraźniejszości. Równość proceduralna bez korekty strukturalnej działa niczym sędzia, który ogłasza uczciwy bieg, choć część zawodników startuje z linii mety, a reszta wciąż tkwi w piwnicy. Kiedy autorzy bronią perspektyw uwzględniających tożsamość, nie proponują oni kaprysu metodologicznego ani plemiennej epistemologii, lecz coś znacznie bardziej rygorystycznego. Twierdzą mianowicie, że rzetelna wiedza o społeczeństwie nie może abstrahować od tego, jak konkretne podmioty są w nim sytuowane przez relacje władzy. To nie jest wezwanie do zniszczenia obiektywności, lecz wezwanie do jej radykalnego pogłębienia. To diagnoza ustrojowa, nie znieczulenie.

Dojrzała obiektywność nie polega na infantylnym udawaniu, że jakikolwiek punkt widzenia może zostać całkowicie zawieszony w próżni. Polega ona raczej na rozpoznaniu, w jaki sposób punkty widzenia są produkowane, które z nich uzyskały status normy i jakie obszary rzeczywistości stają się niewidoczne, gdy przemawia centrum. Z tej perspektywy doświadczenie społeczności marginalizowanych nie jest jedynie materiałem ilustracyjnym do już ustalonej teorii, lecz stanowi źródło jej koniecznej korekty. Jest to próba odzyskania zdolności widzenia tego, co porządek dominujący naturalizuje i przedstawia jako jedyną możliwą postać świata. Tak rozumiana epistemologia nie jest rezygnacją z rygoru, tylko odmową przyjmowania fałszywej uniwersalności za ostateczny standard naukowości.

W tym kontekście pojawia się pojęcie neutralnej politycznie, obiektywnej nauki, które należy rozebrać na części, bo jego siła bierze się głównie z retorycznej gładkości. Zwrot ten brzmi nienagannie, niemal higienicznie, bo kto odważyłby się publicznie wystąpić przeciwko nauce bezstronnej i niepartyjnej? Ale ten język działa często jak specjalnie wypolerowane lustro, które odbija tylko to, co system uznaje za dopuszczalne, wymazując całą resztę. Autorzy krytyczni słusznie zauważają, że w dyscyplinach takich jak prawo czy psychologia, standard rzekomej bezstronności bywał historycznie sprzęgnięty z białym punktem widzenia i kolonialnym uniwersalizmem. Badacz miał rzekomo zostawić siebie przed drzwiami laboratorium, co w praktyce oznaczało, że osoby podporządkowane miały zostawić tam wiedzę o własnym podporządkowaniu.

Mit widoku znikąd pełni funkcję dyscyplinującą, odbierając legitymację wiedzy ucieleśnionej i usytuowanej w konkretnym doświadczeniu historycznym. Gdy studentka, badacz czy prawniczka mówią z pozycji życia naznaczonego rasową opresją, ich głos bywa natychmiast oznaczany jako

stronniczy, afektywny lub nienaukowy. Gdy jednak przemawia centrum, jego partykularne interesy i emocje zyskują prawo, by uchodzić za przezroczysty, bezbarwny zdrowy rozsądek. To klasyczny mechanizm symbolicznej dominacji, który nie potrzebuje zakazu mówienia, by skutecznie uciszać. Hierarchia epistemiczna, czyli układ, w którym pewne formy wiedzy są uznawane za obiektywne, a inne za podejrzane, decyduje o tym, czyja percepcja ma status dowodu. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć.

Mechanizmy niewiedzy: jak system zarządza naszym postrzeganiem

Mamy tu do czynienia ze specyficznym układem hierarchii epistemicznej, czyli systemem, w którym jedne głosy są z definicji lokalne i podejrzane, a inne ogólne i wiarygodne. W takim układzie nauka przestaje być przejrzystą przestrzenią dochodzenia do prawdy, stając się raczej wyrafinowanym aparatem kwalifikującym, czyja percepcja ma status dowodu. To swoisty urząd celny dla faktów, gdzie decyduje się, co zostanie uznane za wiedzę, a co sprowadzone do rangi nieistotnej anegdoty. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć, posługując się zamiast tego subtelnymi mechanizmami wykluczenia poznawczego. Znieczula.

Współczesna psychologia instytucjonalna coraz wyraźniej dystansuje się od mitu ślepoty na barwy, czyli ideologii ignorowania rasy, która rzekomo gwarantuje sprawiedliwość, lecz w praktyce maskuje hierarchie. Oficjalne wytyczne Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego dotyczące rasy i etniczności podkreślają, że badania nad takimi przekonaniami wiążą ich silne poparcie z mniejszą wiedzą wielokulturową. Okazuje się bowiem, że odmowa dostrzegania koloru skóry jest często odmową dostrzegania realnych nierówności społecznych oraz ich historycznych źródeł. Ślepota na barwy okazuje się więc nie ślepotą na rasę, lecz ślepotą na władzę, co potwierdzają nowsze materiały APA akcentujące szkodliwość nieprecyzyjnego języka. Taka postawa utrudnia rozpoznawanie skutków rasizmu, działając tym samym na niekorzyść zarówno praktyki badawczej, jak i klinicznej.

To przesunięcie wewnątrz pola profesjonalnego jest kluczowe, ponieważ coraz trudniej udawać, że język niewidzenia różnic jest po prostu bardziej obiektywny czy naukowy. Przeciwnie, coraz częściej postrzega się go jako formę metodologicznego samookaleczenia, które uniemożliwia badaczom uchwycenie pełnej złożoności współczesnych zjawisk społecznych. Nic zatem dziwnego, że w ostatnich latach badacze edukacji oraz organizacje akademickie coraz mocniej akcentują potrzebę prawdziwej, a nie tylko deklaratywnej pracy antyrasistowskiej. Nie jest to oczywiście paradygmat akceptowany przez wszystkich, gdyż w świecie nauki rzadko panuje pełna jednomyślność co do

metodologii. Istnieje wszak silny nurt przeciwny, wspierany przez część polityków i think tanków, który uznaje takie podejście za niebezpieczną ideologizację uczelni.

Niemniej jednak byłoby nieuczciwe przemilczanie faktu, że w psychologii, socjologii czy badaniach nad zdrowiem publicznym coraz szerzej przyjmuje się tezę o maskowaniu nierówności. Maska neutralności, czyli strategia języka odcinająca analizę od jej politycznych źródeł, pozwala bowiem na ciche współzarządzanie systemowymi niesprawiedliwościami pod pozorem obiektywizmu. Choć recepcja tych koncepcji pozostaje silnie spolaryzowana, paradygmat krytyczny przestał być jedynie ciekawostką z marginesu akademickiego dyskursu. Stał się on jedną z głównych osi współczesnego sporu o status wiedzy i rolę nauki w społeczeństwie. To diagnoza ustrojowa.

Drugim fundamentalnym motywem, którego nie wolno potraktować pobieżnie, jest zubożenie pojęciowe, czyli proces celowego ograniczania słownika służącego do opisu rzeczywistości społecznej. Jest to koncepcja istotna, ponieważ pokazuje, że przemoc edukacyjna wcale nie musi przybierać postaci jawnego, brutalnego zakazu czy cenzury. Czasem wystarczy po prostu zubożyć dostępny aparat pojęciowy, aby skutecznie zubożyć świat i ograniczyć horyzont myślowy przyszłych pokoleń. Toteż zubożenie pojęciowe działa jak administracyjnie zarządzana amnezja, która nie zakazuje myślenia wprost, lecz czyni niektóre wnioski niemożliwymi do sformułowania. Sprawia to, że próba nazwania mechanizmów władzy zaczyna brzmieć w uszach postronnych jak przesada, brak obiektywizmu lub wręcz obsesja.

Uczeń, student czy obywatel kształcony w systemie, który usuwa kontekst systemowej przemocy, będzie umiał nazwać konkretne zdarzenie, ale nie zrozumie jego mechanizmu. Będzie znał datę buntu, lecz nie pojmie struktury ucisku, która do niego doprowadziła, pozostając więźniem powierzchownych faktów. Taki człowiek będzie pamiętał imię bohatera, lecz nie dostrzeże zbiorowej organizacji oporu, która stanowiła fundament jego realnych działań. Będzie recytował legendę o nieuchronnym postępie, nie rozumiejąc ani ceny tego procesu, ani tego, kto został zmuszony do jej zapłacenia. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem, skutecznie wymazując niewygodne prawdy z oficjalnego obiegu.

Jeżeli z programów nauczania usuwa się dzieje eugeniki, kolonialne podstawy własności czy materialne skutki segregacji, nie produkuje się wcale wykształconych i świadomych obywateli. Produkuje się raczej użytkowników uproszczonej mapy, na której celowo nie zaznaczono pól minowych, co czyni ich bezbronnymi wobec współczesnych wyzwań. Przy czym taki obywatel ma później uwierzyć, że nierówności wynikają wyłącznie z indywidualnych zdolności lub nieudanych wyborów, a nie z historycznych uwarunkowań. Nie dzieje się tak dlatego, że jest on z natury okrutny, lecz dlatego, że odebrano mu aparaturę pojęciową zdolną połączyć biografię z historią.

Zubożenie pojęciowe jest więc problemem ustrojowym, ponieważ odbiera podmiotom ich sprawczość obywatelską i zdolność do projektowania sensownych reform.

Wielokulturowość jako alibi: estetyzacja niesprawiedliwości

Współczesna analiza nierówności wymaga porzucenia silosów poznawczych, bowiem to właśnie na styku ekonomii, prawa i antropologii domyka się obwód systemowego wykluczenia. Ekonomia bezlitośnie dowodzi, że przywilej i deprywacja mają charakter kumulatywny, będąc dziedziczonymi przez szczelne mechanizmy dostępu do kapitału, edukacji czy rynku mieszkaniowego. Prawo z kolei nadaje tym procesom sankcję normatywną, stabilizując je poprzez doktryny neutralności oraz specyficzne konstrukcje własności, które czynią niesprawiedliwość niemal niewidoczną. Antropologia domyka ten układ, tłumacząc nam, że cały ten opresyjny gmach zostaje opowiedziany jako kultura normalności, w której wszyscy na co dzień oddychamy. W efekcie system operuje jednocześnie na poziomie materialnym, symbolicznym i emocjonalnym, tworząc gęstą sieć zależności. Dlatego też krytyka ślepoty na barwy, czyli ideologii ignorowania rasy w procedurach, nie może być jedynie prostym moralizowaniem, lecz musi stać się precyzyjną anatomią reprodukcji władzy.

W tym kontekście pojęcie ślepoty na kolory wielokulturowości uderza w najczulszy punkt współczesnych instytucji, obnażając ich ulubione alibi: reprezentację bez redystrybucji i transformacji metody. Uniwersytety, muzea czy korporacje, a ostatnio nawet infrastruktury sztucznej inteligencji, z niezwykłą gorliwością celebrują obrazy różnorodności na swoich stronach głównych. Chętnie włączają teksty autorów z grup marginalizowanych do sylabusów, zatrudniają kilku dyżurnych ekspertów i tworzą estetyczne zakładki poświęcone inkluzywności. Wszystkie te gesty, choć na pozór szlachetne, często służą jedynie jako parawan dla braku realnej zmiany w sposobie zarządzania prestiżem. Instytucja otwiera witrynę, ale nie otwiera skarbca, oferując widoczność zamiast realnego wpływu na procesy decyzyjne. Jest to strategia bezpieczna, bo pozwala zachować dotychczasowy porządek pod płaszczykiem nowoczesnej wrażliwości.

Prawdziwa wartość tych działań zależy od jednego, fundamentalnego pytania: czy zmieniona została sama architektura interpretacji, selekcji i alokacji prestiżu? Jeśli fundamenty pozostają nienaruszone, wielokulturowość staje się estetyzacją niesprawiedliwości – różnorodnością w gablocie, bez prawa dotykania mechanizmu władzy. W naukach humanistycznych zjawisko to przybiera formę protekcjonalnego włączania autorów postkolonialnych do kanonu, przy jednoczesnym odmawianiu ich tekstom statusu interwencji teoretycznej. Dzieło staje się wówczas

egzotycznym dokumentem cierpienia lub surowym materiałem o inności, ale nigdy pełnoprawnym narzędziem do myślenia o świecie. Instytucja mówi wtedy z fałszywą wielkodusznością, że wpuściła Innego do gmachu, zapominając dodać, że przeznaczyła dla niego jedynie boczne skrzydło z napisem „różnorodność". Ta operacja pozwala centrum ogłosić swój sukces i uznać wszelkie dalsze żądania za radykalne lub, co gorsza, ideologiczne.

Absurd tej sytuacji nie jest jedynie błędem w sztuce, lecz stanowi integralną formę prawdy o współczesnym uniwersytecie i jego strukturach. Można z nabożeństwem organizować seminaria o dekonstrukcji dominacji, by chwilę później w procedurach awansowych nagradzać wyłącznie tych, którzy tej dominacji nie dotykają zbyt mocno. Instytucja ogłasza miesiąc różnorodności, po czym z kamienną twarzą pyta, czy badania nad rasą nie są aby zbyt polityczne dla obiektywnej nauki. Przypomina to straż pożarną, która organizuje konkurs piękności na najładniejszą gaśnicę, ale w regulaminie surowo zabrania używania wody do gaszenia pożarów. Ten rozdźwięk między deklaracją a strukturą władzy obnaża hipokryzję systemu, który woli zarządzać percepcją niż rzeczywistością. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć i zaczyna przemawiać językiem formularzy.

Kolejnym kluczowym elementem tej układanki jest pedagogika zaangażowania emocjonalnego, czyli podejście uwzględniające afektywny wymiar nauki, o znaczeniu znacznie większym niż tradycyjna transmisja danych. Jednym z najtrwalszych błędów nowoczesnej dydaktyki jest naiwne przekonanie, że opór wobec wiedzy wynika wyłącznie z braku dostępu do faktów. Tymczasem w sporach o rasę, płeć i historyczną odpowiedzialność, opór ma charakter głęboko afektywny i tożsamościowy. Wiedza nie wchodzi więc do pustego pojemnika, lecz wchodzi na pole minowe utożsamień, zagrażając moralnej narracji o sobie i własnej grupie. Klasyczna fantazja racjonalistyczna, według której wystarczy pokazać dane, by zwyciężył rozum, okazuje się w tym starciu boleśnie bezradna. To nie brak informacji jest problemem, lecz lęk przed tym, co te informacje robią z naszym obrazem świata.

Pedagogika zaangażowania emocjonalnego przyjmuje ten fakt z całą jego niewygodą, nie próbując infantylizować odbiorców ani uciekać w łatwe zawstydzanie. Rozumie ona, że uprzywilejowani odbiorcy reagują na krytykę systemu lękiem, winą, paraliżem, a niekiedy nawet otwartym cynizmem. Reakcje te nie są argumentem przeciw nauczaniu o rasizmie, lecz stanowią jego nieodłączny i konieczny element poznawczy. Zamiast udawać, że proces edukacyjny jest sterylny, należy uznać, że nauka o władzy musi boleć, bo dotyka samych fundamentów naszej społecznej egzystencji. Zrozumienie afektywnego wymiaru wiedzy pozwala wyjść poza jałowe deklaracje ku realnej zmianie. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem, ale to właśnie emocje pozostają ostatnią linią obrony starego porządku.

Ślepota na barwy jako tarcza nowoczesnego reżimu władzy

Edukacja w swoim najgłębszym wymiarze nie polega wyłącznie na transferze suchych danych, lecz na rygorystycznej analizie mechanizmów, które czynią naszą percepcję ułomną. Jednym z jej kluczowych zadań staje się dziś rozpoznanie specyficznego odruchu obronnego, który każe nam traktować wiedzę o własnym usytuowaniu społecznym jako bezpośredni zamach na osobistą godność. To przesunięcie akcentu ma charakter fundamentalny dla współczesnej humanistyki. Odtąd nie wystarczy już tylko nauczać o historycznych aktach opresji, gdyż systemy dominacji wykształciły sprawne przeciwciała. Trzeba zatem nauczać również o samym oporze wobec wiedzy o opresji, o tej gęstej mgle, którą umysł roztacza, by chronić swoje dobre samopoczucie. Wiedza nie wchodzi więc do pustego pojemnika. Wchodzi na pole minowe utożsamień, gdzie każdy fakt jest ważony pod kątem zagrożenia dla ego.

Recepcja tego podejścia we współczesnej nauce tworzy obraz niezwykle złożony, daleki od akademickiej sielanki. W psychologii społecznej oraz badaniach nad edukacją obserwujemy gwałtowny wzrost znaczenia analiz implicit bias, czyli nieuświadomionych uprzedzeń, które sterują naszymi decyzjami mimo deklarowanej bezstronności. Badacze coraz wnikliwiej przyglądają się tożsamości społecznej oraz zjawisku zagrożenia dla obrazu własnej grupy, które paraliżuje procesy poznawcze. Wiemy już, że emocje nie są jedynie dodatkiem do przetwarzania informacji o nierównościach, lecz stanowią ich główny filtr. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć, a zaczyna szeptać językiem psychologicznych barier. To one sprawiają, że fakty stają się przezroczyste.

Warto przy tym zauważyć, że w świecie nauki nie panuje pełna zgoda co do skuteczności wszystkich interwencji mających na celu redukcję uprzedzeń. Część rzetelnych badań sugeruje wręcz, że krótkie, powierzchowne szkolenia z zakresu różnorodności mają efekt ograniczony, a niekiedy wręcz kontrproduktywny. Ale właśnie ta trudność raczej wzmacnia niż osłabia tezę o głębi problemu. Pokazuje ona, że nie mamy do czynienia z prostym brakiem informacji, który można uzupełnić za pomocą jednej prezentacji w PowerPoincie. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem i procedurą, która znieczula sumienie. To diagnoza ustrojowa, a nie techniczna usterka.

Nie istnieją zatem żadne proste, technokratyczne rozwiązania, które mogłyby zastąpić rzetelną pracę u podstaw. Nie wystarczy włączyć w korporacyjnym intranecie modułu szkoleniowego i ogłosić ostateczne zwycięstwo nad strukturalnym rasizmem. Potrzebna jest długotrwała, często bolesna praca nad warunkami naszych relacji, nad precyzją języka oraz nad całym

instytucjonalnym otoczeniem, w którym funkcjonujemy. Kluczowa okazuje się zdolność do wytrzymywania dyskomfortu poznawczego bez uciekania w bezpieczne rejony autoprzebaczenia lub agresywnej negacji faktów. Prawda bywa nieestetyczna, a jej przyjęcie wymaga porzucenia roli niewinnego obserwatora. To trudna sztuka, która nie znosi dróg na skróty.

Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne (APA) słusznie zwraca uwagę, że język i praktyki ślepe na rasę w rzeczywistości utrudniają rozpoznanie i adresowanie realnych nierówności. Udawanie, że nie widzimy barw, w świecie, który został przez nie brutalnie sformatowany, jest formą eskapizmu. Taka postawa uniemożliwia tworzenie warunków do bardziej odpowiedzialnej edukacji oraz etycznej praktyki zawodowej w wielu dziedzinach życia. Siła pedagogiki zaangażowania emocjonalnego polega zatem na tym, że potrafi ona odrzucić dwie kuszące, lecz fałszywe drogi jednocześnie. Nie wierzy w naiwną dydaktykę samych faktów, ale nie wierzy też w autorytarną pedagogikę upokorzenia. Wie, że zawstydzanie odbiorców często jedynie cementuje ich defensywność.

Potrzebny jest nam trzeci model, który można określić mianem strategicznej empatii. Model ten nie myli zrozumienia mechanizmu obronnego z przyzwoleniem na jego destrukcyjne skutki polityczne. Innymi słowy, nauczyciel czy badacz nie ma żadnego obowiązku chronić czyjegoś komfortu kosztem prawdy historycznej, ale ma obowiązek rozumieć, że droga do uznania tej prawdy bywa emocjonalnie wyboista. Wymaga to dyscypliny, ogromnej samoświadomości oraz odwagi do porzucenia roli suwerennego arbitra stojącego rzekomo ponad historią. I bardzo dobrze. Ten arbitraż zbyt często był po prostu elegancką wersją władzy, która maskowała swoje stronnicze usytuowanie pod maską uniwersalizmu.

Wszystkie te wątki prowadzą nieuchronnie do pojęcia białej supremacji, które w nowoczesnej debacie bywa rozumiane szeroko i niezwykle trafnie. Biała supremacja nie jest tutaj nazwą dla marginesu społecznego, dla kilku fanatyków z transparentami czy dla odosobnionych incydentów nienawiści. Jest nazwą dla szerokiego reżimu społecznego, który organizuje akumulację dóbr, ochronę reputacji oraz domyślny status człowieczeństwa. To on definiuje, co w danym społeczeństwie uchodzi za rozsądne, prawomocne i godne zaufania. Taki reżim nie musi stale używać jawnej przemocy, by trwać. W swojej dojrzałej formie działa właśnie przez pozór swojego braku, stając się przezroczystym tłem codzienności.

Dlatego właśnie ślepota na barwy, czyli ideologia ignorowania rasy w procedurach, okazuje się jego najnowocześniejszą i najskuteczniejszą tarczą. Pozwala ona twierdzić, że system jest już w pełni neutralny, więc każde wskazanie na trwające nierówności musi być przejawem nadwrażliwości lub polityki tożsamości. To manewr genialny w swojej cynicznej prostocie, przypominający konkurs piękności na gaśnicę w trakcie pożaru. Najpierw przez wieki tworzy się trwałe struktury

wykluczenia, a potem każdą próbę ich korekty przedstawia się jako niesprawiedliwe odejście od rzekomo neutralnych reguł gry. Ślepota na barwy okazuje się więc nie ślepotą na rasę, lecz ślepotą na władzę.

Pojęcie białego posiadania, czyli reżim racjonalności, w którym biały podmiot stanowi domyślną normę własności, należy do najmocniejszych narzędzi w całym tym zestawie analitycznym. Wydobywa ono z mroku fakt, że nowoczesne państwo i obywatelstwo nie są wyłącznie abstrakcyjnymi instytucjami wolności. Mają one swoją mroczną genealogię, w której zapisane są wywłaszczenie, kolonialna okupacja oraz doktryna terra nullius. Ta ostatnia, uznająca zamieszkane ziemie za niczyje, pozwoliła na takie przeformatowanie przestrzeni prawnej, by grabież mogła zostać opowiedziana jako początek cywilizowanego porządku. To nie jest tylko historia, to fundament naszej współczesnej logiki posiadania.

Białe posiadanie oznacza zatem specyficzny reżim racjonalności, w którym roszczenia wspólnot podporządkowanych pojawiają się w systemie jako anomalia lub zagrożenie dla ładu. Prawo staje się wówczas nie tyle neutralnym językiem rozstrzygania sporów, ile wyrafinowanym narzędziem zarządzania pamięcią o przemocy założycielskiej. To rozpoznanie ma konsekwencje znacznie szersze niż tylko debata o kolonializmie, gdyż dotyczy samej istoty współczesnej ekonomii politycznej. Jeżeli bowiem majątek i dostęp do edukacji zostały historycznie rozdysponowane rasowo, to późniejsza obrona prawa własności bez analizy jego genezy staje się obroną nierówności skapitalizowanej. To znieczula system na wołanie o sprawiedliwość.

Z punktu widzenia ekonomisty problem polega nie tylko na bieżącej dystrybucji dochodu, lecz na dystrybucji aktywów i zdolności do międzypokoleniowej reprodukcji przewagi. Z punktu widzenia prawnika problemem jest to, że neutralność norm bywa wtórna wobec pierwotnej przemocy wpisanej w samą możliwość posiadania. Antropolog z kolei zauważy, że ta przemoc zostaje następnie przepisana na kojącą opowieść o rozwoju i naturalnym porządku świata. Widać już wyraźnie, że omawiane pojęcia tworzą jedną, spójną architekturę dominacji. Ślepota na barwy jest w niej językiem niewidzenia, a neutralna politycznie nauka staje się rytuałem legitymizacji zastanego stanu rzeczy.

Zubożenie pojęciowe nie jest tutaj przypadkowym brakiem w podręczniku, lecz celowym mechanizmem reprodukcji ignorancji. Pedagogika zaangażowania emocjonalnego próbuje przełamać tę afektywną obronę systemu, podczas gdy Krytyczna Teoria Rasy (CRT), czyli rama badawcza analizująca relacje między prawem a systemowym rasizmem, dostarcza narzędzi do odczytywania instytucji jako pól władzy. Biała supremacja opisuje sam reżim dominacji, a białe posiadanie wskazuje na jego materialno-prawny fundament. Całość dopełnia ślepota na kolory

wielokulturowości, która pokazuje, jak system potrafi wchłonąć nawet język różnorodności i uczynić z niego ozdobną zasłonę.

Błąd popełniłby ten czytelnik, który uznałby tę całość za wyłącznie amerykańską opowieść o odległych sporach. Owszem, geneza wielu tych kategorii jest amerykańska, ale ich nośność analityczna wykracza daleko poza ten kontynent. Spory o neutralność, pamięć i sprawczość grup marginalizowanych są dziś integralną częścią globalnej debaty o kondycji demokracji oraz uniwersytetu. W różnych krajach przybierają one odmienne nazwy, ale ich wewnętrzna logika pozostaje zdumiewająco podobna. Elity polityczne chętnie akceptują taką różnorodność, która nie narusza podziału władzy interpretacyjnej i majątkowej. Gorzej znoszą taką, która pyta o samą genezę porządku.

Trzeba jeszcze jasno nazwać współczesny paradygmat naukowy wokół tych kwestii, zachowując przy tym pełną intelektualną uczciwość. Nie istnieje jedna, jednolita ortodoksja, przed którą wszyscy musieliby klękać. Istnieje natomiast bardzo wyraźne przesunięcie w wielu dziedzinach ku badaniom, które rozumieją rasę jako konstrukt społeczny, a rasizm jako zjawisko strukturalne. Takie podejście dominuje dziś w psychologii, socjologii oraz naukach prawnych, rzucając wyzwanie tradycyjnym modelom postrzegania świata. Równolegle jednak obserwujemy potężną kontrmobilizację polityczną, która próbuje przywrócić starszy ideał formalnej neutralności za pomocą restrykcji dydaktycznych. To walka o to, co wolno nam wiedzieć.

Dokumentowane przez PEN America nasilenie ograniczeń dotyczących nauczania o rasie i historii pokazuje, że spór ten ma dziś charakter nie tylko teoretyczny, ale instytucjonalny. Wątpliwości należy sygnalizować tam, gdzie nauka nie daje prostych recept, na przykład w ocenie skuteczności konkretnych interwencji antyuprzedzeniowych. Nie ma jednak żadnych poważnych podstaw, by twierdzić, że sam problem systemowych nierówności jest wymyślony lub marginalny. Źródła naukowe pokazują coś zgoła odwrotnego. Walka toczy się właśnie dlatego, że stawka jest centralna dla przyszłości państwa prawa. Prawdziwie obiektywna nauka nie może polegać na wymazaniu własnego usytuowania.

Musi ona polegać na świadomości tego usytuowania oraz na gotowości do korekty perspektywy przez wiedzę płynącą z miejsc historycznie spychanych do roli obiektu badań. To jest obiektywność znacznie trudniejsza, bo nie daje komfortu bezcielesności i rzekomej bezstronności. Ale tylko taka obiektywność ma szansę nie być po prostu dobrze ubraną amnezją, która służy podtrzymaniu status quo. Kończy się pierwszy ruch eseju, który obnażył mechanizmy politycznego niewidzenia. Pokazał on, że neutralność bywa często narzędziem epistemicznej przemocy, a zubożenie pojęciowe metodą produkcji obywatelskiej bezradności wobec mechanizmów władzy.

Biała supremacja działa najsprawniej wtedy, kiedy uchodzi za brak problemu, a białe posiadanie nie jest reliktem przeszłości, lecz logiką wciąż osadzoną w fundamentach nowoczesnego ładu. Ślepota na barwy nie jest pojedynczym błędem moralnym ani drobnym nieporozumieniem semantycznym. Jest ona pełnym układem technologicznym nowoczesnej władzy, który pozwala systemowi trwać w nienaruszonym stanie pod maską powszechnej równości. Zrozumienie tego mechanizmu jest pierwszym krokiem do jakiejkolwiek realnej zmiany, która wykraczałaby poza dekoracyjne gesty i puste deklaracje. To diagnoza, która nie daje spokoju, ale daje narzędzia do walki o prawdę.

Zarządzanie pozorem: jak system konsumuje różnicę bez zmiany władzy

Mechanizm ten operuje jednocześnie w obszarze prawa, edukacji oraz polityki publicznej, wykonując zadanie pozornie skromne, lecz w istocie fundamentalne. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć, a zamiast tego zaczyna systematycznie uspokajać język opisu rzeczywistości i odcinać analizę od jej historycznej genezy. Maska neutralności, czyli strategia języka i procedur odcinająca analizę od jej politycznych źródeł, sprawia, że tradycyjna obrona nierówności staje się zbędna. Zamiast konfrontować się z tarciem struktur, system oferuje nam kojącą opowieść o jednostkowym wysiłku i osobistej odpowiedzialności za własny los. Wystarczy przecież mówić o standardach, jakości czy mitycznej równości wobec procedury, by utrzymać dawne hierarchie w nienaruszonym stanie. To diagnoza ustrojowa.

W tym nowym, wygładzonym świecie brutalne narzędzia dominacji ustąpiły miejsca eleganckim formularzom i precyzyjnie skrojonym regulaminom. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem, przy czym ten drugi ma tę przewagę, że bywa powszechnie mylony z postępem cywilizacyjnym. To właśnie tutaj spór o ślepotę na barwy nabiera swojego właściwego, politycznego ciężaru. Ślepota na barwy okazuje się więc nie tyle ślepotą na rasę, co ślepotą na władzę, służącą do maskowania realnych hierarchii i utrwalania status quo. Krytyczna Teoria Rasy, czyli rama badawcza analizująca relacje między prawem a systemowym rasizmem, pozwala nam dostrzec, że te procedury nigdy nie są neutralne. Selekcja akademicka, przetwarzająca wcześniejsze nierówności społeczne w formalne certyfikaty wartości, domyka ten układ.

Uniwersytet, muzeum czy korporacja potrafią dziś z niezwykłą łatwością włączyć reprezentację mniejszościową do swojego oficjalnego repertuaru cnót. Instytucje te chętnie cytują, eksponują i celebrują różnorodność, projektując kampanie wizerunkowe oparte na twarzach osób dotąd marginalizowanych. Jednak gdy przychodzi moment naprawdę istotny, czyli pytanie o to, kto ustala

kryteria doskonałości i czyja wiedza ma status teorii, system gwałtownie zastyga. Okazuje się wówczas, że dekoracyjna wielokulturowość otwiera witrynę, ale nie otwiera skarbca. Doświadczenie mniejszościowe zostaje sprowadzone do roli barwnego materiału ilustracyjnego, który ma potwierdzać otwartość centrum, a nie ją realnie kwestionować. Znieczula.

Ta specyficzna forma zarządzania różnorodnością jest niezwykle użyteczna politycznie, ponieważ dostarcza instytucjom niemal nieprzebijalnej tarczy moralnej. Pozwala ona uciszyć krytykę, wskazując na obecność osób spoza dawnego centrum w oficjalnych strukturach czy gremiach doradczych. Problem polega jednak na tym, że reprezentacja bez transformacji metody i bez redystrybucji autorytetu epistemicznego pozostaje jedynie wyrafinowaną odmianą zarządzania pozorem. Hierarchia epistemiczna, czyli układ, w którym pewne formy wiedzy uznaje się za obiektywne, a inne za podejrzane, sprawia, że teksty autorów z marginalizowanych wspólnot bywają włączane do kanonu tylko jako ciekawostki. Można je czytać dla poprawy samopoczucia, ale nie wolno pozwolić im, by to one zaczęły krytycznie czytać nas i nasze przywileje.

Współczesny menedżerski multikulturalizm przypomina luksusowy salon, który dla poprawy wizerunku wystawia na półkach książki o wywłaszczeniu, ale nadal nie oddaje kluczy do budynku tym, których wywłaszczono. Prowadzi to do paradoksów, które zasługują na odrobinę humoru absurdu, gdy instytucja z dumą ogłasza promocję krytycznego myślenia, po czym wpada w popłoch, gdy to myślenie zwraca się ku niej samej. Chwali głosy peryferii tak długo, jak długo mówią one odpowiednio melodyjnie i nie naruszają komfortu gospodarzy. Kiedy jednak te same głosy zaczynają domagać się realnych zmian proceduralnych, nagle okazuje się, że brakuje im obiektywizmu lub profesjonalnego tonu. Wtedy salon uprzejmości błyskawicznie zamienia się z powrotem w surowy urząd celny.

Na tym tle zubożenie pojęciowe jawi się już nie jako poboczna słabość programów nauczania, lecz jako warunek możliwości całej tej operacji. Zarządzanie percepcją, polegające na aktywnym filtrowaniu wiedzy o mechanizmach władzy i pomijaniu historii kolonializmu, sprawia, że większość spornych zjawisk jawi się obywatelom jako seria niefortunnych przypadków. Będą widzieli dysproporcję, ale nie dostrzegą systemowej akumulacji, która za nią stoi; zauważą konflikt, ale nie rozpoznają matrycy władzy. Nie będą umieli połączyć jednostkowej niesprawiedliwości z architekturą prawa, rynkiem pracy czy polityką mieszkaniową. To nie jest drobiazg semantyczny, lecz fundamentalna blokada poznawcza, która sprawia, że system pozostaje nienaruszalny.

Maska neutralności: jak system konserwuje nierówności

Edukacja często przypomina proces produkcji obywatela, którego starannie odcięto od bolesnej historii własnego społeczeństwa. Milton Reynolds słusznie sugeruje, że takie systemowe zubożenie wiedzy oznacza w rzeczywistości amputację zdolności do racjonalnego wyjaśniania mechanizmów rządzących współczesnym światem. Szkoła, która milczy o eugenice, kolonializmie osadniczym czy rasowych fundamentach prawa własności, wcale nie zachowuje merytorycznej neutralności. Staje się ona aktywnym filtrem poznawczym, swoistym urzędem celnym dla faktów, który przepuszcza do głów uczniów tylko to, co bezpieczne. Przypomina to atlas, z którego usunięto całe kontynenty, by następnie z powagą obwieścić klasie, że wspominanie o brakujących lądach to niebezpieczna polityka. To diagnoza ustrojowa.

W tak spreparowanej próżni informacyjnej nawet najbardziej jaskrawe nierówności zaczynają uchodzić za naturalny rezultat niejasnych deficytów kulturowych lub niewłaściwych aspiracji jednostek. Struktura społeczna nagle znika z pola widzenia, a całą odpowiedzialność za porażki przejmuje ofiara systemu, uwikłana w narrację o rodzinnych zaniedbaniach czy braku konkurencyjności. Dominacja zostaje w ten sposób odczarowana i przełożona na chłodny, rzekomo realistyczny język rynkowej pragmatyki. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć. Zamiast tego zaczyna szeptać o merytokracji, zamieniając historię przemocy w statystykę osobistych niedociągnięć, co skutecznie usypia czujność obserwatorów. To klasyczna, dobrze ubrana amnezja.

To właśnie tutaj ekonomia polityczna najściślej splata się z krytyczną analizą systemowych ram prawnych. Musimy bowiem zrozumieć, że w świecie finansów nierówności nie są jedynie prostymi różnicami w miesięcznych dochodach poszczególnych gospodarstw domowych. Stanowią one wynik skomplikowanych mechanizmów kumulacji aktywów, selekcji edukacyjnej oraz dziedziczenia przewag lokalizacyjnych, które narastały przez całe pokolenia. Gdy na ten fundament nałożymy historię rasowego wykluczenia z dostępu do kredytu czy prestiżu, rzekomo neutralne reguły gry przestają być sprawiedliwe. One nie niwelują bagażu przeszłości, lecz sprawnie go monetyzują, zamieniając dawne krzywdy w dzisiejszy brak zdolności kredytowej.

Prawo dostarcza temu całemu porządkowi niezwykle użytecznego języka bezosobowości oraz proceduralnego chłodu, który maskuje realne napięcia. Standard jest jeden, procedura jest jedna i miara jest jedna, co na pierwszy rzut oka brzmi jak szczyt cywilizacyjnego osiągnięcia. Jednak jedna miara przyłożona do skrajnie nierówno ukształtowanych podmiotów wcale nie znosi różnicy, lecz zazwyczaj ją konserwuje i legitymizuje. Prawo, które nie pyta o materialną genezę układu

własności, staje się po prostu księgowością skutków dawnej przemocy. Dlatego tak potrzebne jest myślenie, które nie zatrzymuje się na poziomie formalnej symetrii.

W tym kontekście powrót Krytycznej Teorii Rasy (CRT), czyli ramy badawczej analizującej relacje między prawem, instytucjami a systemowym rasizmem, wydaje się nieunikniony. Jej znaczenie rośnie zawsze wtedy, gdy oficjalny język państwa próbuje za wszelką cenę zamknąć usta historii i zignorować jej wpływ na teraźniejszość. Wyrok Sądu Najwyższego USA w sprawie Students for Fair Admissions z 2023 roku stał się najbardziej widocznym momentem tej tendencji. Sąd uznał programy rekrutacyjne Harvardu i UNC za niezgodne z konstytucją, wzmacniając wizję równości, w której środki naprawcze są traktowane z większą surowością niż same struktury nierówności. W języku krytycznym nie jest to triumf bezstronności, lecz przykład przekształcenia bolesnej historii w abstrakcyjny test symetrii.

Z perspektywy badaczy CRT najważniejsze nie jest pytanie, czy system używa dziś jawnie rasistowskiego słownika w swoich oficjalnych dokumentach. Kluczowe pozostaje to, czy instytucje nadal reprodukują zróżnicowane rasowo skutki pod osłoną rzekomo uniwersalnych i obiektywnych reguł. Gdy odpowiedź brzmi twierdząco, ślepota na barwy (colorblindness), czyli ideologia ignorowania rasy w procedurach mająca rzekomo gwarantować sprawiedliwość, staje się techniką zacierania śladów. Twórcy tej teorii wiedzieli doskonale, że uniwersalność pozbawiona analizy relacji władzy bywa wyłącznie wybieloną partykularnością z tytułem do suwerenności. Taka postawa otwiera witrynę sklepową, ale nie otwiera skarbca, oferując jedynie iluzję równego startu.

Współczesna recepcja tych koncepcji pozostaje oczywiście głęboko spolaryzowana i uwikłana w doraźne spory o charakterze ideologicznym. Oficjalne debaty uczyniły z nich znak rozpoznawczy wojny kulturowej, co paradoksalnie może być najlepszym dowodem na ich poznawczą skuteczność. Teoria staje się niebezpieczna dla status quo dokładnie w tym momencie, gdy potrafi precyzyjnie nazwać to, co system dotąd przedstawiał jako brak problemu. Jednocześnie środowiska badawcze w socjologii czy psychologii coraz częściej operują kategoriami bliskimi CRT, nawet jeśli nie zawsze posługują się samym szyldem. Wiedza nie wchodzi przecież do pustego pojemnika, lecz wchodzi na pole minowe utożsamień i historycznych zaszłości.

Amerykańskie Stowarzyszenie Badań Edukacyjnych (AERA) wyraźnie wspiera dziś badania antyrasistowskie jako element rzetelnej i poważnej refleksji nad kondycją współczesnej szkoły. Podobne przesunięcie obserwujemy w psychologii, gdzie APA od lat podkreśla potrzebę praktyki responsywnej etnicznie oraz kulturowo w procesie terapeutycznym. Nowsze materiały tych organizacji akcentują, że język ślepy na rasę może utrudniać rozpoznawanie realnych nierówności i zniekształcać proces diagnozy. Przez długi czas wiele segmentów nauki żyło fantazją, że usunięcie

kontekstu władzy z pola widzenia zapewni jej absolutną czystość. Tymczasem rzetelność nie rośnie dzięki amputacji tła, lecz dzięki jego świadomemu i krytycznemu uwzględnianiu w analizie.

Ten ruch w stronę większej świadomości ma jednak potężnego i dobrze zorganizowanego przeciwnika w sferze legislacyjnej oraz politycznej. Raporty PEN America pokazują, że w USA trwa systematyczna fala prób ograniczania nauczania o rasie, historii i nierównościach społecznych. Organizacja ta dokumentuje, że od 2021 roku uchwalane są kolejne prawa, które bezpośrednio lub pośrednio cenzurują dydaktykę akademicką. W 2026 roku raportowano już dziesiątki nowych projektów ustaw tworzących rozbudowaną sieć kontroli nad programami nauczania na uczelniach wyższych. Obejmuje ona nie tylko zakazy konkretnych tematów, ale także presję administracyjną mającą na celu drastyczne ograniczenie autonomii uniwersytetów, co budzi uzasadniony niepokój badaczy.

Epistemiczna przemoc: jak neutralność chroni systemową władzę

Z punktu widzenia analizowanego tu materiału, gwałtowna reakcja polityczna na próby demistyfikacji systemowych przywilejów nie jest jedynie przypadkowym incydentem. Stanowi ona niemal laboratoryjny dowód na to, że spór o ślepotę na barwy dotyczy w istocie realnej, twardej infrastruktury władzy. Gdybyśmy mieli do czynienia wyłącznie z ekscentryczną debatą kilku profesorów w zakurzonych aulach, ustawodawcy nie poświęcaliby tyle energii na jej systemowe tłumienie. Musimy zatem powrócić do pojęcia neutralnej politycznie i obiektywnej nauki, aby precyzyjnie pokazać, dlaczego jest ono tak skuteczne jako narzędzie dyscypliny. Jego siła bierze się z faktu, że sprytnie łączy dwie najbardziej pożądane cnoty nowoczesnej inteligencji, czyli obiektywność oraz umiarkowanie. Kto występuje przeciwko tak skonstruowanemu ideałowi, ten niezwykle łatwo może zostać przedstawiony jako fanatyk, niebezpieczny aktywista lub ideolog niezdolny do chłodnego, racjonalnego myślenia. To diagnoza ustrojowa.

Właśnie to pojęcie bywa cynicznie wykorzystywane po to, by zdyskredytować wiedzę powstałą w wyniku krytycznego namysłu nad mechanizmami rasowej dominacji. Gdy osoba z grupy marginalizowanej wskazuje, że jej doświadczenie ujawnia niewidoczne dla centrum wzory przemocy, słyszy zazwyczaj, że jest zbyt emocjonalnie zaangażowana. Gdy natomiast centrum twierdzi, że jego perspektywa jest po prostu uniwersalna, nikt nie pyta, dlaczego ta uniwersalność tak uderzająco przypomina biografię uprzywilejowanego podmiotu. Z tego powodu pojęcie epistemicznej przemocy, czyli narzucania takiego reżimu wiarygodności, w którym pewne sposoby wiedzenia są z góry deprecjonowane, jest tutaj tak nośne. Przemoc w tym ujęciu nie oznacza

wyłącznie zakazu wypowiedzi czy fizycznego przymusu. Oznacza ona stworzenie systemu, w którym pewne doświadczenia są a priori uznawane za mniej naukowe lub subiektywne. Ślepota na barwy okazuje się więc nie ślepotą na rasę, lecz ślepotą na władzę.

Epistemiczna przemoc to sytuacja, w której człowiek musi porzucić własny język rozpoznania świata, aby w ogóle zostać dopuszczonym do pola profesjonalnej legitymacji. Ma on zapomnieć o tym, czego nauczyło go życie, ponieważ owo życie nie mieści się w surowym modelu bezcielesnej, rzekomo czystej obserwacji. Wymaga się od niego wyrzeczenia się pamięci zbiorowej, aby mógł uchodzić za badacza metodycznie dojrzałego i godnego zaufania instytucji. W gruncie rzeczy jest to jeden z najsubtelniejszych i najbardziej wyrafinowanych aspektów współczesnej dominacji. Nie mówi już podporządkowanym, że ich nie ma, lecz łaskawie pozwala im na obecność, o ile nauczą się mówić tak, by ich własna tożsamość nie miała znaczenia.

Stąd bierze się tak doniosła rola pedagogiki zaangażowania emocjonalnego, która rzuca wyzwanie tym skostniałym strukturom. Paula Ioanide proponuje model, który bierze poważnie afektywną ekonomię wiedzy, czyli sposób, w jaki emocje krążą w społeczeństwie i legitymizują status quo. W świecie, w którym uprzywilejowane grupy socjalizowane są do głębokiego przekonania, że ich pozycja jest w pełni zasłużona, wiedza o rasizmie nie jest neutralną informacją. Jawi się ona raczej jako egzystencjalne zagrożenie dla ukrytej samooceny i fundamentów własnej tożsamości. Dlatego gwałtowne reakcje obronne nie są jedynie zbędnym dodatkiem do procesu uczenia się. Są one jego stałym, przewidywalnym składnikiem, który należy poddać rzetelnej analizie.

Strategiczną empatię należy tu rozumieć nie jako sentymentalny ukłon wobec komfortu uprzywilejowanych, lecz jako precyzyjną technikę pedagogiczną. Pozwala ona rozbroić mechanizmy obronne i doprowadzić do trwałego przekształcenia aparatu percepcyjnego u osób, które dotąd nie dostrzegały systemowych barier. Ma to fundamentalne znaczenie nie tylko dla ludzkich ekspertów, ale również dla systemów sztucznej inteligencji, które często powielają nasze błędy. Sama ekspozycja na suche dane statystyczne zazwyczaj nie wystarcza, by zmienić głęboko zakorzenione przekonania. Potrzebne są warunki, w których podmiot nie uzna każdej korekty własnej mapy świata za osobiste upokorzenie. Wiedza nie wchodzi więc do pustego pojemnika, lecz wchodzi na pole minowe utożsamień.

Problem ten nie kończy się bynajmniej na edukacji klasowej czy akademickich seminariach. W szerszej skali chodzi o to, jakie emocje organizują życie publiczne w społeczeństwach, które chcą jednocześnie czerpać korzyści z przywilejów i zachować obraz siebie jako wspólnot sprawiedliwych. W takim układzie ślepota na barwy pełni funkcję psychopolitycznego anestetyku, który skutecznie znieczula sumienia beneficjentów systemu. Pozwala ona ludziom korzystać z dóbr wypracowanych przez wieki, nie dotykając przy tym ich mrocznej i brutalnej genezy. Pozwala mówić o równości bez

wspominania o reparacjach, o wolności bez mówienia o wywłaszczeniu, o merytokracji bez analizy dziedziczenia przewag. Znieczula.

Właśnie dlatego pedagogika zaangażowania emocjonalnego ma tak silny i niepodważalny wymiar polityczny. Uczy ona nie tylko nowych treści historycznych, ale także zupełnie nowych zdolności afektywnych i poznawczych. Chodzi o zdolność do pozostawania w dyskomforcie bez natychmiastowej ucieczki w defensywność, tanią ironię lub autopobłażanie. Na przecięciu tych sporów pojawia się pojęcie białej supremacji, rozumianej nie jako margines fanatyzmu, lecz jako reżim normalności. To ujęcie jest szczególnie ważne, ponieważ radykalnie zmienia skalę problemu i przenosi go do centrum debaty. Jeśli białą supremację zdefiniujemy jedynie jako nienawiść ekstremistów, wówczas każda instytucja może szybko ogłosić, że problem jej nie dotyczy.

Jeśli jednak potraktujemy ją jako historycznie zorganizowany system ochrony niezasłużonych przywilejów, sytuacja robi się dużo mniej komfortowa dla wszystkich uczestników gry. Trzeba wtedy zacząć pytać o rynek mieszkaniowy, dziedziczenie majątku, klasyfikację szkół oraz codzienne praktyki policyjne. Trzeba pytać, kto ma luksus bycia uznanym za autonomiczną jednostkę, a kto stale reprezentuje w oczach innych całą swoją kategorię. Kto może uchodzić za człowieka uniwersalnego, a kto zawsze jest opisywany przez ograniczający go przymiotnik. W praktyce biała supremacja okazuje się więc nie tylko przemocą fizyczną, lecz przede wszystkim niesprawiedliwą dystrybucją zwyczajności.

To prowadzi nas wprost do koncepcji białego posiadania, która odsłania podszewkę pojęć traktowanych przez liberalną nowoczesność jako samowystarczalne cnoty. Własność, suwerenność, obywatelstwo i bezpieczeństwo prawne mogą brzmieć jak uniwersalne abstrakcje, dopóki nie zapytamy o ich historyczny fundament. Pojęcie to zmusza do postawienia pytania, na jakiej scenie historycznej te rzekomo ogólne wartości zostały zuniwersalizowane. Jakie terytoria musiały zostać uznane za niczyje, aby inni mogli ogłosić swoją własność? Jakie wspólnoty opisano jako nie dość cywilizowane, by ich roszczenia mogły liczyć się na serio w międzynarodowych trybunałach? System otwiera witrynę, ale nie otwiera skarbca.

Współczesny porządek normatywny nadal obficie korzysta z tej przemocy założycielskiej, nawet gdy oficjalnie posługuje się wyłącznie językiem praw i procedur. Białe posiadanie nie jest tylko pojęciem historycznym, lecz kluczową kategorią analizy naszej teraźniejszości. Pozwala ono zobaczyć, że porządek prawny może nadal chronić rezultaty dawnej grabieży, nawet jeśli sam nie formułuje już grabieży jako cnoty. Pozwala zrozumieć, dlaczego roszczenia rdzennych wspólnot do ziemi tak często napotykają prawną cierpliwość jedynie do momentu realnego zagrożenia dla kapitału. Prawo człowieka i prawo własności nie zawsze są naturalnymi sojusznikami emancypacji, lecz bywają językami, przez które państwo ogranicza samą dopuszczalność wolności.

Mechanika niewiedzy: jak merytokracja konserwuje nierówności

Gdy wreszcie połączymy wszystkie rozproszone elementy tej układanki, obraz staje się nieprzyjemnie klarowny i ostry. Ślepota na barwy, czyli ideologia ignorowania rasy w procedurach, mająca rzekomo gwarantować sprawiedliwość, nie jest bynajmniej błędem percepcji, lecz formą aktywnego zarządzania nią. To nie nadmiar wielokulturowej tolerancji nas zwodzi, lecz tolerancja pilnowana przez surowego, metodologicznego strażnika, który dba, byśmy nie widzieli zbyt wiele. Zubożenie pojęciowe, z którym się stykamy, nie wynika z prostego braku wiedzy, lecz jest brakiem starannie wyprodukowanym w laboratoriach społecznego konsensusu. Pedagogika zaangażowania emocjonalnego nie jest zatem terapią dla osób nadwrażliwych, ale precyzyjną techniką rozbrajania tych obron afektywnych, które na co dzień podtrzymują naszą wygodną niewiedzę. To diagnoza ustrojowa.

Neutralna politycznie nauka, prezentowana jako szczyt rzetelności, często okazuje się jedynie rytuałem odkażania dominującej perspektywy z jej własnej, kłopotliwej historii. Jest to rodzaj dobrze ubranej amnezji, która pozwala badaczom czuć się obiektywnymi, podczas gdy ignorują fundamenty własnego uprzywilejowania. W tym krajobrazie Krytyczna Teoria Rasy (CRT), czyli rama badawcza analizująca relacje między prawem a systemowym rasizmem, pozostaje jedną z niewielu struktur zdolnych spleść te wątki w logiczną całość. Pozwala ona zrozumieć, że nierówności nie są dziełem przypadku, lecz wynikiem świadomej konstrukcji systemu, który unika banalnego moralizmu na rzecz analizy władzy. Współczesny paradygmat naukowy nie daje nam jednej, ostatecznej pieczęci prawdy, ale oferuje coś znacznie ważniejszego. Dostarcza on coraz silniejszych dowodów na to, że języki ślepe na rasę generują ogromne koszty poznawcze, edukacyjne i polityczne. Znieczulają.

Równocześnie obserwujemy, jak kontratak wobec tych ustaleń przybiera dziś brutalną postać legislacyjną, administracyjną oraz kulturową. Im więcej badań pokazuje, że kontekst historyczny jest niezbędny do zrozumienia współczesności, tym intensywniej część pola politycznego próbuje zakazać samego języka opisu. Nie jest to bynajmniej znak słabości krytyki, lecz dowód na to, że trafiła ona w sam nerw dotychczasowego porządku. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć, ponieważ nie musi już udowadniać swojej racji siłą. Systemy te utrzymują się głównie dlatego, że potrafią zamienić własne, partykularne interesy w przezroczyste środowisko naturalne naszego myślenia. To właśnie w tym miejscu ślepota na barwy zaczyna tak doskonale współpracować z merytokracją.

Oba te języki potrzebują się wzajemnie, by stworzyć szczelną kopułę uzasadnień dla status quo. Ślepota na barwy głosi, że rasa nie powinna mieć znaczenia, a merytokracja dodaje, że skoro faktycznie nie ma ona znaczenia, to w wyścigu zwyciężają po prostu najlepsi. W tym momencie strukturalna nierówność zyskuje nową, szlachetną twarz cnoty i osobistego wysiłku. Kto znajduje się wysoko w hierarchii, ten w powszechnym mniemaniu w pełni na to zasłużył swoją pracą. Kto zaś jest nisko, temu najwyraźniej zabrakło kompetencji, dyscypliny albo mitycznej gotowości do odniesienia sukcesu. Historia zostaje w ten sposób skutecznie wymazana, a wynik społeczny przedstawia się jako neutralny test jakości.

To jedna z największych sztuczek nowoczesnego porządku, przypominająca konkurs piękności na gaśnicę, gdzie ocenia się estetykę, ignorując fakt, że budynek płonie. Przemoc poprzedzająca powstanie rynku zostaje zapomniana, a sam rynek występuje w roli sędziego pozbawionego pamięci. Z perspektywy ekonomii politycznej jest to zabieg niemal podręcznikowy, pozwalający na legitymizację skumulowanych przywilejów. System nie musi już przecież otwarcie zakazywać komukolwiek dostępu do edukacji, prestiżu czy ochrony instytucjonalnej. Wystarczy, że będzie dziedziczył skutki wcześniejszych zakazów, oceniając wszystkich za pomocą tych samych, rzekomo obiektywnych wskaźników. Wówczas przewaga historyczna zostaje płynnie przetworzona w przewagę konkurencyjną, a ta z kolei w niepodważalną reputację zasługi.

Nie ma już potrzeby mówić wprost o rasie, skoro w jej zastępstwie działa kapitał kulturowy, wartość nieruchomości i sieci absolwenckie. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem, który w sposób cichy i uprzejmy dokonuje selekcji. Mamy do czynienia z całym arsenałem spokojnych przywilejów, takich jak wczesny dostęp do opieki zdrowotnej czy ochrona przed nadmierną penalizacją. System przypomina kasyno, w którym jedni dostali żetony od urodzenia, a drudzy weszli do gry zadłużeni po uszy. Mimo to, przy samym wejściu każdemu wręcza się tę samą broszurę z napisem: zwycięża wyłącznie talent. W prawie sytuacja wygląda analogicznie, choć jest podana w znacznie bardziej eleganckiej i wyrafinowanej formie.

Formalizm prawny uwielbia prezentować się jako najwyższa kultura czystego rozumu, stojąca ponad doraźnymi konfliktami. Sędzia deklaruje, że nie widzi koloru skóry, norma twierdzi, że nie zna pochodzenia, a procedura szczyci się brakiem emocji. Wszystko to brzmi znakomicie aż do chwili, w której przypomnimy sobie, że prawo nigdy nie działa na pustym polu. Funkcjonuje ono w społeczeństwie uformowanym przez segregację, wywłaszczenie oraz rasowo różnicowane praktyki kredytowe. W takim świecie formalna symetria nie jest szczytem sprawiedliwości, lecz sposobem księgowania asymetrii bez ujawniania jej rzeczywistego źródła. Jeśli norma przychodzi po historii, ale zachowuje się tak, jakby jej nie było, to jedynie konserwuje przeszłość pod kloszem proceduralnej niewinności.

Pojęcie białego posiadania powinno zostać zatem potraktowane nie jako retoryczna przesada, lecz jako kluczowa kategoria ustrojowa. Aileen Moreton-Robinson trafnie pokazuje, że nowoczesne państwo osadnicze nie opiera się wyłącznie na dawnym akcie zaboru terytorium. Ono stale reprodukuje logikę uprawnionego posiadania przez tych, którzy zostali uznani za pełnoprawnych nosicieli cywilizacji i racjonalności. Terra nullius, czyli doktryna uznająca ziemię za niczyją, nie jest tylko historycznym absurdem, lecz matrycą myślenia pozwalającą uznać przestrzeń zamieszkaną za pustą. Działo się tak zawsze wtedy, gdy jej mieszkańcy nie mieścili się w zachodnim, bardzo wąskim modelu suwerenności.

To jedna z tych formuł, przy których absurd jest tak jaskrawy, że aż prosi się o głośny protest. Trzeba było niebywałej sprawności moralnej, aby dostrzec ludzi, ich pola, języki i genealogie, a potem orzec z lodowatą powagą, że mamy do czynienia z pustką. Była to jednak pustka niezwykle użyteczna dla kolonizatorów, ponieważ to właśnie ona rodziła nową własność. Z tej rzekomej próżni wyrastało państwo, a po podpisaniu odpowiednich dokumentów ziemia zaczynała przynosić rentę nowym właścicielom. Wiedza nie wchodzi więc do pustego pojemnika; wchodzi na pole minowe utożsamień i historycznych roszczeń.

Współczesna nauka prawa oraz studia nad rdzenną suwerennością nie traktują już tych zagadnień jako egzotycznego dodatku do głównego nurtu. Narodowe Muzeum Indian Amerykańskich Smithsonian podkreśla dziś wprost, że doktryna terra nullius służyła wyłącznie uzasadnieniu przywłaszczania ziem rdzennych narodów. Liczne opracowania naukowe dotyczące doktryny odkrycia pokazują jej długie i szkodliwe życie w instytucjonalnej wyobraźni Zachodu. To niezwykle istotne, ponieważ oznacza, że krytyka białego posiadania przestała być jedynie odosobnionym głosem z peryferii. Coraz częściej staje się ona centralnym punktem sporu o samą genezę prawa własności, suwerenności oraz nowoczesnego obywatelstwa. To nie jest tylko spór o przeszłość, to walka o to, jak definiujemy sprawiedliwość dzisiaj.

Ślepota na barwy jako technologia legitymizacji władzy

Spójrzmy na nowoczesne instytucje edukacyjne przez pryzmat mechanizmów, które rzekomo promują czysty talent oraz indywidualną pracowitość. Selekcja szkolna i akademicka rzadko bowiem działa jako bezstronne sito, które oddziela ziarno autentycznych zdolności od plew przeciętności. Znacznie częściej przypominają one wyrafinowany aparat przetwarzający wcześniejsze, dziedziczone nierówności w późniejsze, oficjalne certyfikaty rynkowej wartości. System ten legitymizuje przywilej, nadając mu formę obiektywnego sukcesu jednostki, co skutecznie wycisza pytania o pozycję startową zawodników. To diagnoza ustrojowa.

Test standaryzowany uchodzi w powszechnym mniemaniu za narzędzie sprawiedliwe, ponieważ teoretycznie każdy uczestnik mierzy się z dokładnie tym samym wyzwaniem. Niemniej jednak identyczność zadania nie oznacza wcale identyczności warunków, w jakich dochodzi się do ostatecznego wyniku. Jeżeli jedni dorastali w otoczeniu instytucjonalnej pewności i bogatego zaplecza językowego, ich sukces jest raczej wskaźnikiem ustrukturyzowanego uprzywilejowania. Wynik testu staje się wówczas miarą dopasowania do dominującego kodu, a nie neutralnym pomiarem surowej inteligencji. Znieczula.

Warto zauważyć, że wyższa jakość szkół, mniejszy stres ekonomiczny oraz lepsza opieka zdrowotna tworzą fundament, na którym buduje się rzekomo „naturalne" zdolności. Gdy istnieje pełna zgodność między kodem domowym a kodem szkoły, proces edukacyjny przebiega bez tarć, które są codziennością grup marginalizowanych. W takim układzie merytokracja, czyli system nagradzania według zasług, staje się jedynie dekoracyjną fasadą dla reprodukcji status quo. To mechanizm, który sprawia, że dziedziczenie kapitału kulturowego wygląda jak efekt osobistego geniuszu.

Historia testów inteligencji oraz ich dawne uwikłanie w projekty eugeniczne nie stanowią tutaj jedynie historycznej ciekawostki dla archiwistów. Jest to raczej fundamentalne ostrzeżenie metodologiczne, które przypomina o politycznym rodowodzie naszych najbardziej czcigodnych narzędzi pomiarowych. Pokazuje ono dobitnie, że nawet najbardziej precyzyjny aparat może stać się narzędziem naturalizacji hierarchii społecznych. Dzieje się tak zawsze wtedy, gdy jego genealogia i kontekst użycia zostaną odcięte od krytycznej analizy. To dobrze ubrana amnezja.

Współczesne organizacje eksperckie, takie jak Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne, coraz rzadziej godzą się na utrzymywanie fikcji o naukowej obojętności. APA wskazuje bowiem, że przekonania ślepe na rasę wiążą się z ograniczoną zdolnością rozpoznawania realnych nierówności systemowych. Taka postawa osłabia adekwatność praktyki badawczej oraz klinicznej, prowadząc do błędnych diagnoz i nieskutecznych interwencji. Profesjonalna dyskusja o języku i metodzie odchodzi zatem od złudzenia, że ignorowanie rasy gwarantuje lepszą naukę. Rzeczywistość jest wieloczynnikowa.

Debata nad testowaniem i selekcją pozostaje oczywiście żywa oraz niejednoznaczna, co należy uczciwie i wyraźnie zaznaczyć. Nie każda dysproporcja w wynikach jest prostym i jedynym dowodem na działanie jednego, konkretnego mechanizmu dyskryminacji. Właśnie dlatego potrzebujemy dzisiaj bogatszego aparatu pojęciowego, który pozwoli nam uchwycić złożoność współczesnych struktur społecznych. Jeżeli rzeczywistość jest splotem wielu czynników, tym bardziej nie wolno usuwać z niej czynnika rasowej organizacji szans. To wymóg rzetelności.

Zubożenie pojęciowe, czyli systemowe ograniczanie języka służącego do opisu struktur władzy, ułatwia przenoszenie odpowiedzialności z instytucji na barki jednostek. Gdy obywatele nie dysponują takimi kategoriami jak rasizm strukturalny czy przemoc epistemiczna, automatycznie wracają do języka charakteru i motywacji. Wina za porażkę życiową staje się wówczas problemem psychologicznym, a nie wynikiem niesprawiedliwego układu politycznego. Nierówność zostaje wpisana w moralne portfolio człowieka, zamiast być odczytywana jako efekt rozkładu władzy. To bardzo wygodne.

W tym właśnie punkcie neoliberalizm spotyka się ze ślepotą na barwy, tworząc sojusz, w którym obaj partnerzy rozumieją się bez słów. Zamiast pytać o wadliwą konstrukcję systemu, instytucje wolą wygłaszać płomienne przemowy o indywidualnej odporności i przedsiębiorczości. To moment, w którym polityka zostaje zastąpiona przez coaching, a walka o prawa przez treningi asertywności. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem i odpowiednio sprofilowanym szkoleniem.

Nieprzypadkowo więc część badań nad edukacją coraz wyraźniej akcentuje potrzebę nauczania historycznego, strukturalnego oraz antyrasistowskiego. American Educational Research Association nie traktuje już antyrasizmu jako pobocznej ekstrawagancji, lecz jako realny kierunek poważnych badań. W tym sensie współczesny paradygmat naukowy przesunął się istotnie, choć proces ten nie wszędzie przebiega bez oporu. Rosnąca liczba wytycznych zawodowych potwierdza, że ślepota na rasę przestała być złotym standardem obiektywności. Coraz częściej uchodzi za standard szkodliwy.

PEN America od lat dokumentuje nasilenie prób legislacyjnego ograniczania nauczania o rasie, historii oraz mechanizmach wykluczenia społecznego. W latach 2025 i 2026 organizacja ta opisywała rozległą sieć administracyjnej kontroli nad autonomią uczelni i programami szkolnymi. Takie działania warto interpretować nie jako poboczną wojnę kulturową, lecz jako próbę domknięcia obiegu pojęć politycznych. Kiedy państwo walczy o to, by pewne słowa nie weszły do klasy, zwykle chodzi o mapę rzeczywistości. Chodzi o władzę nad wyobraźnią.

Pedagogika zaangażowania emocjonalnego, czyli metoda pracy uwzględniająca afektywny wymiar uczenia się, zyskuje w tej scenerii kluczowe znaczenie. Nie chodzi tu jedynie o radzenie sobie z indywidualnym oporem studentów, lecz o zrozumienie zbiorowej odmowy uznania historii. Wstyd, lęk przed utratą statusu oraz gniew pracują wspólnie na rzecz reprodukcji zorganizowanej niewiedzy o systemie. Skuteczne nauczanie musi zatem umieć przeprowadzić odbiorcę przez doświadczenie destabilizacji bez dostarczania mu taniego pocieszenia. Wiedza musi naruszać komfort.

Wiedza, która nie narusza wygodnych metafizyk własnej niewinności, rzadko prowadzi do realnej zmiany w działaniu instytucji. Najczęściej kończy ona jako elegancki panel dyskusyjny podczas konferencji, zwieńczony kurtuazyjnym kieliszkiem wina. Dla profesjonalnego czytelnika, myślącego kategoriami prawa i zarządzania, kluczowe jest jednak pytanie o rygor oraz naukowy sceptycyzm. Uznanie tez o strukturalnym rasizmie nie oznacza rezygnacji z dowodzenia, lecz jest wyrazem najwyższej dbałości o rzetelność. Właśnie sceptycyzm każe nam pytać, komu służy pozór neutralności.

Bez uwzględnienia historii dominacji żadna poważna analiza nierówności nie będzie mogła aspirować do miana rzetelnej nauki. Taka teza wcale nie osłabia powagi dyscyplin akademickich, lecz wręcz przeciwnie, ratuje je przed staniem się rachunkowością cudzego cierpienia. Stawką sporu jest to, czy nauka ma być lustrem status quo, czy narzędziem demistyfikacji rzeczywistości. Ślepota na barwy oraz mity neutralnej obiektywności pchają ją nieuchronnie ku tej pierwszej, czysto służebnej funkcji. Krytyczna teoria rasy próbuje przywrócić jej funkcję drugą.

Ślepota na barwy, czyli ideologia ignorowania rasy w procedurach, jest niezwykle mobilną technologią legitymizacji władzy na całym świecie. W Stanach Zjednoczonych występuje jako postulat neutralności, natomiast w innych krajach przybiera postać mitu harmonijnego mieszania się kultur. W każdym z tych wariantów wykonuje ona ten sam ruch, odcinając teraźniejszość od jej krwawej genealogii. Przedstawia istniejący rozkład zasobów jako efekt normalnego działania instytucji, a nie jako wynik historycznej przemocy. To strategicznie genialne.

Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć i zaczyna przemawiać językiem standardów, audytów oraz precyzyjnych rankingów. Dawna supremacja, która operowała toporną metafizyką wyższości, została zastąpiona przez subtelne procedury i formuły legalności. System nie musi już dzisiaj twierdzić, że jedni ludzie są z natury lepsi od innych. Wystarczy, że rozłoży świat tak, by pewne grupy stale wypadały jako bardziej wiarygodne i kompetentne. Biała supremacja w tym ujęciu jest systemem alokacji domyślności.

Pojęcie postrasowości warto traktować nie jako opis osiągniętego stanu sprawiedliwości, lecz jako polityczną operację semantyczną. Gdy społeczeństwo ogłasza wejście w epokę postrasową, zazwyczaj chce zamknąć język, którym można jeszcze opisać materialne skutki rasizmu. Jest to końcowy akt retoryczny władzy, która mówi podporządkowanym, że ich pamięć stała się niestosowna i zbyt konfliktowa. W takim świecie samo wskazanie struktury uchodzi za nietakt, przesadę albo formę ideologicznego nadużycia. To zamykanie mapy.

Na poziomie instytucjonalnym ten sam mechanizm pracuje dziś z ogromną siłą w szkolnictwie, administracji publicznej i kulturze eksperckiej. AERA otwarcie traktuje antyrasistowską edukację

jako obszar prawomocnych i potrzebnych badań, co pokazuje przesunięcie środka ciężkości. To, co jeszcze niedawno przedstawiano jako radykalny margines, dziś staje się elementem głównego namysłu nad jakością dydaktyki. Jednocześnie ta właśnie zmiana wywołuje gwałtowne kontruderzenie ze strony części systemu politycznego. To walka o prawo do niewidzenia.

W epoce algorytmów i sztucznej inteligencji stara ślepota na barwy przybiera nową, technologiczną formę obiektywizmu proceduralnego. Systemy mogą deklarować neutralność, a jednak reprodukować wzorce nierówności zakodowane w danych historycznych i zmiennych zastępczych. Obiektywizm algorytmiczny okazuje się wówczas bliskim kuzynem dawnego formalizmu prawnego, który nie „widzi" rasy, ale dziedziczy jej skutki. Wiedza nie wchodzi więc do pustego pojemnika, lecz wchodzi na pole minowe utożsamień i uprzedzeń. To nowa technika władzy.

Oficjalne wytyczne APA dotyczące rasy i etniczności podkreślają potrzebę praktyki responsywnej, czyli uwzględniającej specyfikę kulturową odbiorców. Publikacje te wskazują, że ideologia colorblind wiąże się z gorszym rozpoznawaniem rasizmu oraz istotnymi kosztami dla pracy naukowej. Oznacza to, że psychologia coraz trudniej utrzymuje dawną fantazję o badaczu, który własne usytuowanie zamraża do temperatury laboratoryjnej. Obiektywność nie znika, lecz zmienia swoją definicję, stając się świadomością kontekstu, a nie jego amputacją. To dojrzałość poznawcza.

Tu dochodzimy do najbardziej drażliwego punktu debaty, czyli pytania, czy nauka świadoma władzy jest jeszcze nauką, czy już aktywizmem. Pytanie to bywa stawiane z nabożeństwem, jakby zawierało w sobie całą powagę zachodniej cywilizacji. W istocie często maskuje ono prostszy lęk przed utratą przywileju definiowania tego, co uchodzi za wiedzę wolną od interesu. Jeśli uzna się wartość punktu widzenia grup marginalizowanych, centrum traci monopol na przezroczystość. Zostaje zmuszone do zobaczenia własnej lokalności.

Hegemonia woli mówić językiem natury, a nie językiem położenia, dlatego oskarżenie o aktywizm tak często pełni funkcję policyjną. Ma ono przypomnieć, kto ma prawo do abstrakcji, a kto ma pozostać przy swoim subiektywnym doświadczeniu. Tymczasem doświadczenie ludzi marginalizowanych bywa miejscem wcześniejszego rozpoznania tego, co dla centrum pozostaje niewidzialne. Uprzywilejowany podmiot spotyka system jako środowisko sprzyjające, podczas gdy podporządkowany widzi go jako barierę. Doświadczenie nie jest przeciwieństwem teorii, lecz jej korektą.

Z tego punktu widzenia pedagogika zaangażowania emocjonalnego okazuje się modelem transformacji całego aparatu poznawczego. Jej sens nie sprowadza się do łagodzenia napięć w klasie, lecz do rozbijania pancerza moralnej samoobrony. Przekonania ślepe na rasę wiążą się z negowaniem rasizmu, więc problem nie dotyczy wyłącznie deficytu danych, lecz mechanizmów

obronnych. Edukator musi zatem rozumieć tę dynamikę, aby nie produkować jedynie subtelniej uzasadnionej defensywności u swoich uczniów. Trzeba uczyć samego oporu wobec wiedzy.

Po prawej stronie sporu o rasę istnieje konglomerat szkół, które łączy niechęć do czynienia rasy osią uprzywilejowaną w diagnozie. Myśliciele tacy jak Thomas Sowell czy Glenn Loury uważają, że zbyt silny nacisk na rasę zniekształca poznanie i demoralizuje politykę. Ich zdaniem państwo nie powinno klasyfikować obywateli według rasy, nawet pod sztandarem szlachetnej korekty dawnych krzywd. Stanowisko to wzmacnia jurydyczny ideał konstytucyjnej ślepoty na barwy, który ma chronić przed powrotem do porządku stanowego. To spór o fundamenty.

Klasyczna wersja tej krytyki ma charakter prawno-konstytucyjny i opiera się na zasadzie równej ochrony prawa dla każdego obywatela. Została ona potwierdzona przez Sąd Najwyższy USA w 2023 roku w głośnej sprawie przeciwko uniwersytetom Harvarda i UNC. Sąd uznał programy rekrutacyjne uwzględniające rasę za niezgodne z konstytucją, wzmacniając tym samym ideał colorblindness. Dla tej szkoły prawa posługiwanie się rasą przez instytucję publiczną zawsze reprodukuje logikę klasyfikacji grupowej. To powrót do myślenia kategoriami przynależności.

Ślepota na barwy okazuje się więc nie ślepotą na rasę, lecz ślepotą na władzę i jej historyczne zakorzenienie w strukturach. Nauka, która ogłasza absolutną neutralność, a nie chce widzieć historii wywłaszczenia, jest polityczna bardziej skutecznie, bo własnej polityczności nie ujawnia. Prawdziwie ambitna wiedza nie służy do ochrony komfortu ontologicznego, lecz do rozmontowywania form oczywistości żywiących się cudzą niewidzialnością. Nie to jest problemem, że krytyka rasy widzi za dużo, lecz to, że system nagradza niepatrzenie. To kwestia odwagi.

Prawicowa alternatywa: merytokracja kontra polityka rasy

Nie mamy tu do czynienia z jałowym sporem o proceduralne detale czy techniczną korektę urzędowych formularzy. W istocie dotykamy samej metafizyki obywatelstwa, czyli fundamentalnego pytania o to, komu właściwie przynależy jednostka w nowoczesnym, zbiurokratyzowanym państwie. Czy człowiek jest najpierw suwerennym właścicielem samego siebie, zakotwiczonym w uniwersalnym porządku praw, czy może jedynie elementem większej kategorii rasowej? To właśnie przez ten pryzmat państwo rości sobie prawo, by nas widzieć, ważyć na swoich szalach i ewentualnie korygować nasze życiorysy. Prawicowa odpowiedź na ten dylemat pozostaje uderzająco jednoznaczna i surowa w swojej intelektualnej konsekwencji. Najpierw istnieje jednostka, a dopiero potem, gdzieś w dalekim tle, pojawia się cała reszta tożsamościowych

etykiet. To stanowisko posiada potężną, wewnętrzną siłę, której nie sposób zbyć rytualnym oskarżeniem o moralną ślepotę.

W swojej najbardziej wyrafinowanej wersji ten nurt myślenia ostrzega, że prawo musi zachować skrajną nieufność wobec wszelkich klasyfikacji opartych na statusie. Historia, ta bezlitosna nauczycielka, zna bowiem zbyt wiele ponurych przykładów, gdy chwilowy wyjątek od zasady równości formalnej stawał się fundamentem trwałej segmentacji. Z tej perspektywy akcja afirmatywna czy rozbudowane programy DEI nie jawią się jako niewinne techniki wyrównywania szans startowych. Są one raczej ryzykownym wskrzeszeniem upiornej zasady, według której rasa stanowi okoliczność prawnie relewantną i decydującą o losie człowieka. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem, by segregować nas według klucza pochodzenia. Właśnie ta logika sprawiła, że po głośnym wyroku w sprawie SFFA konserwatywni prawnicy uznali to za sygnał do kwestionowania praktyk korporacyjnych.

Drugi filar tej argumentacji ma charakter ekonomiczno-społeczny, a jego niekwestionowanym patronem od dekad pozostaje Thomas Sowell. Ten związany z Hoover Institution intelektualista od lat analizuje mechanizmy dyskryminacji, etniczności i nierówności z chłodną precyzją chirurga. W swoich licznych pracach Sowell dowodzi, że polityki preferencyjne na całym świecie przynoszą zazwyczaj rezultaty mizerne lub wręcz szkodliwe dla samych beneficjentów. Często produkują one jedynie społeczne napięcia, stygmatyzację oraz zjawisko niedopasowania instytucjonalnego, które niszczy kariery młodych ludzi. Jego podstawowa intuicja jest prosta: różnic w wynikach między grupami nie wolno automatycznie przypisywać wyłącznie bieżącej niechęci otoczenia. Na ostateczny sukces wpływają przecież wzory rodzinne, kapitał kulturowy, jakość lokalnych instytucji, a nawet geografia czy historia migracji.

Wersja bardziej złośliwa tej tezy brzmiałaby następująco: jeśli każde niepokojące zjawisko tłumaczysz wyłącznie rasizmem, to w rzeczywistości niczego nie wyjaśniasz. Nadajesz jedynie rzeczywistości ideologiczny podpis, który zwalnia z obowiązku rzetelnej analizy przyczyn i skutków. Sowell jest dla prawicy kluczowy, ponieważ dostarcza jej kompletnej teorii błędu poznawczego, w który rzekomo wpadła cała strona progresywna. Według tej szkoły myślenia, obsesyjny nacisk na rasę posiada trzy zasadnicze i niszczycielskie wady. Po pierwsze, zamienia on każdą różnicę w statystykach w niepodważalny dowód systemowej opresji. Po drugie, skutecznie odwraca uwagę od bodźców i norm, które można by reformować bez naklejania rasowych etykiet. Wreszcie, oswaja nas z logiką redystrybucji prestiżu według kryterium grupowego, co nieuchronnie podkopuje fundamenty etosu kompetencji.

W tej specyficznej optyce merytokracja nie jest jedynie zgrabnym kamuflażem dla władzy, lecz kruchym osiągnięciem cywilizacyjnym, które wyjątkowo łatwo zniszczyć. Jeśli zastąpimy ją polityką

korekty symbolicznej, ryzykujemy powrót do świata, w którym liczy się przynależność, a nie realna wiedza. Bardziej psychologiczną i moralną stronę tego sporu rozwija Shelby Steele, kolejny wpływowy badacz z kręgu Hoover Institution. Jego najbardziej rozpoznawalna teza dotyczy zjawiska określanego jako "white guilt", czyli białej winy napędzającej współczesną politykę. Steele twierdzi, że dzisiejsze działania nie wynikają z trzeźwego namysłu nad strukturami, lecz z potrzeby moralnej kompensacji elit. To skomplikowany układ, w którym jedni szukają odkupienia, a drudzy budują swoją pozycję na fundamencie historycznej krzywdy.

W języku Steele'a nacisk na rasę staje się samonapędzającym się mechanizmem, w którym podmiotowość zostaje zastąpiona przez administracyjne zarządzanie winą. Zamiast emancypować, taka polityka może paradoksalnie uzależniać i utrwalać podziały, których rzekomo chce się pozbyć. Wytwarza ona relację symboliczną, w której status moralny zyskuje się albo przez publiczną skruchę, albo przez podtrzymywanie roszczenia do rekompensaty. Nie jest to bynajmniej argument błahy, gdyż dotyka on realnego problemu każdej polityki naprawczej, z jakim mierzą się nowoczesne demokracje. Jak korygować błędy przeszłości, by nie zamienić ich w trwałą i wygodną walutę polityczną? Jak rozpoznać dawną krzywdę, nie utwardzając przy tym na wieki tożsamości ofiary w sercach młodszych pokoleń? To są pytania, które wymagają powagi, a nie jedynie partyjnych haseł.

Słabość tej prawicowej diagnozy ujawnia się jednak w momencie, gdy Steele zaczyna nadmiernie psychologizować zjawiska o charakterze czysto strukturalnym. Gdy realny problem braku majątku, gorszych szkół czy brutalności policji zostaje sprowadzony do dramaturgii winy i godności, analiza instytucjonalna znika. Istnieje poważne ryzyko, że rzetelne badanie mechanizmów rynkowych i prawnych ustąpi miejsca moralnemu portretowaniu aktorów tego społecznego dramatu. Prawica uwielbia ten zabieg retoryczny, ponieważ pozwala on nałożyć maskę neutralności, czyli strategię języka odcinającą analizę od jej historycznych źródeł. Pozwala to zdyskredytować antyrasizm jako rodzaj świeckiego teatru skruchy, który rzekomo niczego nie naprawia. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć, a zaczyna przemawiać językiem uniwersalnych wartości, które mają chronić status quo.

Heterodoksyjna krytyka: czy antyrasizm stał się nową religią?

Antyrasizm jako teoria całościowa, choć uwodzi spójnością, niesie ze sobą ryzyko intelektualnej redukcji, która spłaszcza wielowymiarową rzeczywistość do jednego, rasowego parametru. Najciekawszym głosem w tym sporze jest Glenn Loury, postać wymykająca się łatwym etykietom,

gdyż nie neguje on istnienia struktur, lecz kwestionuje współczesny sposób ich demontażu. Jako ekonomista z Brown University, Loury od dekad analizuje mechanizmy nierówności, przekonując, że poprawa losu wykluczonych nie musi opierać się na politykach definiowanych przez kolor skóry. To podejście różni się od konserwatyzmu Sowella, ponieważ Loury nie traktuje rasy jako złudzenia, lecz jako strategiczną pułapkę dla polityki publicznej, odciągającą nas od materialnych reform.

Stanowisko Loury'ego zasługuje na uwagę, ponieważ wprowadza kluczowe rozróżnienie między trafną diagnozą społeczną a skuteczną receptą polityczną dla obywateli. Można przecież uznawać, że rasa wciąż organizuje społeczne ryzyko, a jednocześnie twierdzić, że najlepszą odpowiedzią nie są działania wprost rasowe, lecz uniwersalne wsparcie. Jest to najmocniejszy punkt heterodoksyjnej krytyki, który nie wymaga negowania historii, by uznać współczesne narzędzia naprawcze za źle wykalibrowane. Problem pojawia się jednak, gdy prawicowa recepcja tych myśli zbyt gładko przechodzi od roztropnej tezy do radykalnego wniosku o szkodliwości samego języka struktur. Loury pozostaje w swoich wywodach znacznie subtelniejszy niż wielu jego czytelników, którzy szukają w jego tekstach jedynie wygodnego alibi. To diagnoza ustrojowa.

Nieco inną pozycję zajmuje John McWhorter z Columbia University, który w książce "Woke Racism" uderza w same fundamenty współczesnego aktywizmu. Twierdzi on, że pewna odmiana dzisiejszego antyrasizmu zaczęła funkcjonować na podobieństwo nowej religii, wyposażonej we własne dogmaty, heretyków oraz rytuały moralnego oczyszczenia. Według McWhortera te symboliczne obrzędy paradoksalnie infantylizują czarnych Amerykanów, zastępując realną reformę materialną nieustannym dyscyplinowaniem języka i publicznym wyznawaniem win. Jego krytyka jest istotna, ponieważ nie stanowi ona klasycznej apologii starego porządku, lecz diagnozuje narodziny nowego, specyficznego esencjalizmu, który ponownie zamyka jednostkę w klatce pochodzenia.

Dla współczesnej prawicy McWhorter stał się darem niemal doskonałym, będąc czarnym intelektualistą z prestiżowej uczelni, który punktuje styl i język progresywnej elity. Jego argumentacja posiada trzy warstwy, z których pierwsza obnaża złudzenie, że polityka językowej czujności jest tożsama z faktyczną zmianą materialnych warunków bytowych. Po drugie, autor przestrzega przed paternalistycznym obniżaniem standardów w imię wrażliwości, co w jego ocenie realnie szkodzi grupom, którym system rzekomo pomaga. Wreszcie, moralna liturgia winy i wyznania nie zastąpi konkretnego programu reformy instytucji, które wymagają sprawnego działania, a nie tylko etycznych deklaracji. Kładzenie nadmiernego nacisku na rasę może paradoksalnie utrwalić rasowe myślenie, zmieniając jedynie znaki moralne przy zachowaniu tej samej kategoryzacji ludzi.

Prawicowa krytyka rasy: między rzetelną nauką a ideologią

Krytyka płynąca z prawej strony bywa uderzająco celna, choć jej fundamenty często przypominają misternie konstruowane pułapki na nieuważnego czytelnika. John McWhorter, błyskotliwy lingwista o ciętym piórze, zbyt chętnie pozwala, by najbardziej hałaśliwe i doktrynerskie odmiany aktywizmu stały się w jego tekstach jedyną twarzą całego pola badań nad strukturalną nierównością. To klasyczny błąd „chochoła", tyle że podany w wyjątkowo eleganckim, intelektualnym opakowaniu, które skutecznie znieczula czujność odbiorcy. Coleman Hughes reprezentuje z kolei najmłodszą i najbardziej medialnie sprawną wersję tego sporu, odcinając się od zakurzonego konserwatyzmu na rzecz odświeżonego liberalizmu. Jego książka The End of Race Politics to manifest ideologii ślepoty na barwy, czyli praktyki ignorowania rasy w procedurach publicznych, co ma rzekomo gwarantować sprawiedliwość, lecz w praktyce często maskuje realne hierarchie. Hughes nie jest akademickim tytanem w starym stylu, lecz nośnikiem nowego idiomu, który trafia do pokolenia zmęczonego tożsamościową polaryzacją. Jego przesłanie ma potężną siłę retoryczną: im bardziej instytucjonalizujemy rasę jako kategorię moralną, tym głębiej ryjemy koleiny rasowej optyki w naszych umysłach. To diagnoza ustrojowa.

Gdy jednak odłożymy na bok publicystykę i zapytamy o twardy, empiryczny zasób argumentów, na scenę wkracza Roland Fryer. Harvardzki ekonomista w swojej słynnej pracy o policyjnej przemocy dostarczył prawicy amunicji, której nie da się zbyć prostym ideologicznym gestem. Jego dane pokazały, że choć czarnoskórzy obywatele są częściej narażeni na użycie siły nieśmiercionośnej, to w przypadku strzelanin różnice rasowe znikają po uwzględnieniu określonych czynników sytuacyjnych. Ta praca stała się dla konserwatystów dowodem na to, że narracja o policji jako jednorodnie rasistowskim aparacie jest zbyt grubą kreską kreśloną na skomplikowanej rzeczywistości. Niemniej jednak debata naukowa nie zakończyła się na tym jednym głośnym tytule, bowiem nauka to proces, a nie jednorazowe objawienie. W 2020 roku James Heckman i Steven Durlauf podważyli część wniosków Fryera, wskazując na błędy w doborze próby i inferencji statystycznej. Fryer nie obalił więc tezy o systemowych nierównościach, lecz zmusił drugą stronę do wejścia na wyższy poziom metodologicznego rygoru. To starcie o to, czyja percepcja rzeczywistości ma status dowodu, a czyja jest ignorowana, co tworzy specyficzną hierarchię epistemiczną. Najmocniejsza prawicowa nauka nie polega bowiem na prostackim zaprzeczeniu istnieniu problemu, lecz na żądaniu wyższego standardu dowodowego.

To jest niewątpliwa zaleta tego nurtu, lecz słabość pojawia się natychmiast, gdy z pojedynczych, komplikujących obraz wyników buduje się zbyt szeroką narrację polityczną. Prawicowa teoria

często bardzo skutecznie punktuje nadmiernie ogólne tezy lewicy, lecz bywa znacznie słabsza wtedy, gdy musi sama zbudować pełny model reprodukcji nierówności bez odwołania do struktury rasowej. Wówczas zwykle ucieka ku bezpiecznym przystaniom kultury, rodziny czy mitycznej merytokracji, ale te kategorie nie zawsze wystarczają do wyjaśnienia brutalnego rozkładu aktywów, zdrowia i terytorialnej przewagi. Osobny front walki stanowi krytyka DEI oraz szkoleń różnorodnościowych, które prawa strona portretuje jako kosztowny teatr pozorów. Tutaj konserwatywni krytycy stąpają po dość pewnym gruncie, bowiem literatura naukowa rzeczywiście nie daje podstaw do łatwego triumfalizmu. Przegląd w Current Opinion in Psychology z 2024 roku potwierdza, że dowody na skuteczność takich programów są, delikatnie mówiąc, zróżnicowane i zależą od setek zmiennych. Często okazują się one jedynie rytualnym zarządzaniem percepcją, czyli aktywnym filtrowaniem wiedzy w celu ochrony wizerunku organizacji, zamiast realnej zmiany jej struktury.

Prawica trafnie punktuje magiczną wiarę w to, że jednodniowy kurs odmieni kulturę firmy, która budowała się przez dekady. Często za takimi działaniami kryje się maska neutralności, czyli strategia języka i procedur odcinająca analizę od jej historycznych i politycznych źródeł. Pozwala to organizacjom na obronę status quo poprzez odwołanie się do rzekomo obiektywnych standardów jakości, ignorując fakt, że same te standardy mogą być produktem dawnych wykluczeń. Problem pojawia się jednak w momencie, gdy z nieskuteczności konkretnego narzędzia wyciąga się wniosek o nieistnieniu samego problemu. To logiczny skok, a nie dowód. Można przecież uznać, że wiele szkoleń to jedynie „konkurs piękności na gaśnicę", i zarazem widzieć, że pożar strukturalnych nierówności wciąż trawi fundamenty budynku. System, który kiedyś potrzebował pałki, dziś często zadowala się formularzem, ale formularz ten wciąż bywa barierą nie do przebycia. Wiedza nie wchodzi więc do pustego pojemnika, lecz wchodzi na pole minowe utożsamień, gdzie każdy fakt jest natychmiast uzbrajany przez jedną ze stron sporu.

Współczesna prawicowa krytyka rasy przybiera formę trójstopniowej strategii, która jest tyleż logiczna, co politycznie skuteczna. Najpierw próbuje wykazać, że nauka i polityka drastycznie przeceniają rasę jako zmienną wyjaśniającą sukces lub porażkę jednostki. Następnie uderza w same interwencje instytucjonalne, portretując je jako nieskuteczne, prawnie ryzykowne lub wręcz moralnie podejrzane. Na końcu dodaje, że sam język „antyrasizmu" tworzy nowy reżim symboliczny, który wzmacnia tożsamość grupową kosztem merytokracji i cenzuruje otwartą debatę. Na tym ostatnim etapie do gry wchodzą już nie tylko akademicy, ale także polityczni operatorzy wojny kulturowej, tacy jak Christopher Rufo. Trzeba ich jednak wyraźnie odróżniać od postaci formatu Loury'ego czy Fryera, bowiem Rufo nie szuka prawdy, on szuka punktów zaczepienia dla politycznego gniewu. Jest strategiem przechwytywania konfliktu, który zamienia subtelne dylematy

socjologiczne w toporną amunicję wyborczą. Jego skuteczność pokazuje jednak, że prawicowa krytyka ma dziś nie tylko autorów, lecz także sprawny aparat dystrybucji idei.

Jak zatem ocenić tę prawicową naukę uczciwie, nie popadając w rytualne potępienie? Jej najmocniejszy argument brzmi następująco: nie każda nierówność grupowa jest bezpośrednim skutkiem bieżącej dyskryminacji, a polityka publiczna nie powinna zbyt łatwo przekształcać różnicy wyniku w rasową klasyfikację naprawczą. To są argumenty poważne, które zmuszają do myślenia nawet najbardziej zagorzałych zwolenników analizy strukturalnej. Ich najsłabszy punkt jest jednak równie wyraźny: prawa strona zbyt często bierze krytykę nadużyć i rytuałów za ostateczne obalenie samej strukturalnej analizy rasy. Tymczasem oficjalne dokumenty najważniejszych instytucji naukowych coraz wyraźniej podkreślają, że rasowe nierówności pozostają trwałym elementem życia instytucjonalnego. Prawica trafnie pyta o nadmiar rasy jako ideologii, ale znacznie słabiej radzi sobie z faktem rasy jako historycznie osadzonego mechanizmu dystrybucji ryzyka. Gdy porządek dominacji dojrzeje, przestaje krzyczeć, a zaczyna szeptać językiem procedur i statystyk, których konserwatywna optyka zdaje się nie dosłyszeć.

Najuczciwsza konkluzja musi uznać, że po drugiej stronie nie stoją wyłącznie ideologiczni krzykacze, lecz także poważni architekci myśli i publiczni intelektualiści. Thomas Sowell daje temu obozowi ekonomię konsekwencji, Shelby Steele dostarcza moralnej psychologii winy i wiktymizacji, a Glenn Loury wnosi subtelny sceptycyzm wobec polityki „race first". John McWhorter rozwija krytykę antyrasizmu jako nowej, świeckiej liturgii, a Coleman Hughes przekłada ideę ślepoty na barwy na idiom nowej generacji. To wszystko razem tworzy realny korpus prawicowej teorii, którego nie da się zignorować bez szkody dla samej debaty publicznej. Zarazem nie jest to korpus wystarczający, by samodzielnie wyjaśnić współczesną głębię rasowo zorganizowanych nierówności, które przenikają tkankę społeczną. Mówiąc nieco złośliwie, ale nie bez racji: prawa strona bardzo dobrze wie, jak nie zgubić jednostki w tłumie kategorii, co jest jej wielką zasługą. Znacznie gorzej wie jednak, jak nie zgubić historii w kulcie jednostki, zapominając, że nikt nie startuje z tej samej linii, nawet jeśli sędzia udaje, że nie widzi koloru koszulek biegaczy.

> System, który nauczył się zastępować brutalną pałkę eleganckim formularzem, osiągnął mistrzostwo w zarządzaniu pozorami. Czy w świecie, w którym instytucje świętują różnorodność, jednocześnie zamykając skarbce przed realną redystrybucją, zdołamy jeszcze odróżnić prawdziwą sprawiedliwość od jej dobrze zaprojektowanej imitacji? Być może największym sukcesem nowoczesnej władzy jest przekonanie nas, że budynek płonie, podczas gdy my jedynie dyskutujemy o estetyce gaśnic.

Inspiracje

[1] "Seeing Race Again" Kimberle Williams Crenshaw

Kimberlé Williams Crenshaw (ur. 5 maja 1959 r.) jest wybitną amerykańską prawniczką, orędowniczką praw obywatelskich i jedną z fundamentalnych postaci w rozwoju krytycznej teorii rasy. Zajmuje stanowiska profesor prawa na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles (UCLA) oraz na Wydziale Prawa Uniwersytetu Columbia. Crenshaw jest powszechnie uznawana za twórczynię terminu „intersekcjonalność" w 1989 r., który stanowi ramy dla zrozumienia, w jaki sposób nakładające się na siebie tożsamości społeczne – takie jak rasa, płeć i klasa – oddziałują na siebie, tworząc unikalne doświadczenia dyskryminacji i nierówności systemowej. Jej obszerna działalność naukowa i aktywistyczna koncentruje się na prawach obywatelskich, czarnej feministycznej teorii prawa oraz na styku rasy, rasizmu i prawa. Jest również współzałożycielką i dyrektor wykonawczą African American Policy Forum i odegrała znaczącą rolę w globalnym ruchu na rzecz praw człowieka, przyczyniając się między innymi do powstania klauzuli równości w Konstytucji Republiki Południowej Afryki.

Kimberlé Williams Crenshaw (born May 5, 1959) is a prominent American legal scholar, civil rights advocate, and a foundational figure in the development of critical race theory. She holds positions as a professor of law at both the University of California, Los Angeles (UCLA) and Columbia Law School. Crenshaw is widely recognized for coining the term "intersectionality" in 1989, a framework for understanding how overlapping social identities—such as race, gender, and class—interact to create unique experiences of discrimination and systemic inequality. Her extensive academic and activist work focuses on civil rights, Black feminist legal theory, and the intersection of race, racism, and the law. She is also the co-founder and executive director of the African American Policy Forum and has been influential in global human rights advocacy, including contributing to the equality clause in the South African Constitution.

University of California, Los Angeles (UCLA) and Columbia Law School

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: eb737448-3023-4932-bc2f-0920a1c06fa3